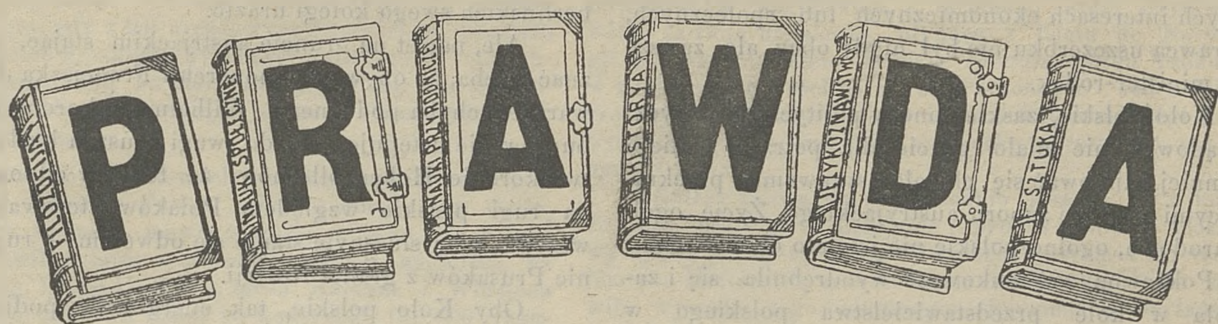
Nr 48 (1610) Warszawa, 2 grudnia 1911 r. **Rok XXXI**



TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Redakcja i Administracja **WŁODZIMIERSKA Nr. 5. Telefon 73-80.**

POLITYKA i ŻYCIE SPOŁECZNE.

Po nad słupy graniczne!

Koło polskie w parlamencie austrjackim uchwaliło wnieść interpelację do rządu w sprawie traktowania robotników polskich w Prusach. Wniosek odpowiedni w Kole postawił poseł Buzek i opracował tekst interpelacji oraz jej uzasadnienie, akceptowane następnie przez całe Koło.

„Telegramy".

Ta wiadomość, przez telegraf na stoły redakcyjne rzucona, zadźwięczała jak radosna, pełna rześkiej mocy, pobudka. Nie wiemy nic jeszcze o wyniku interpelacji, nie wiemy nawet z jaką siłą woli i działania uprą się przy niej nasi posłowie i w jakiej mierze uporowi ich podda się rząd wiedeński, ale, gdy zewsząd, jak chmury gromowe walą się na nas nieszczęścia, niech promień jeden, choćby zdaleka, zbłądzi pod ołowiane nieba Warszawy, już rośnie nam serce otuchą, już wykwita z otuchy — nadzieja...

Nareszcie!

Nareszcie ocknęła się w n i c h duma; z pęt dworskiej układności wybiło się poczucie siły! Nakoniec, przecie, ozwą się żądania tych, którzy mając prawo i siłę żądać, prawa swego się zrzekli, a siły własnej się lękali.

Posłowie polscy we Wiedniu, dotyczczas, zdawałoby, się tak usilnie walczyli o potęgę wpływu w parlamencie, jak gdyby, w tym jedynie celu, aby wpływ ów, niekiedy istotnie potężny, zdobywszy, natychmiastową czynić zeń ofiarę, oddając go całkiem bezinteresownie na usługi rządu lub dynastji.

Podobnie, jak w Poznaniu idea wspólnej ojczyzny zanika pod kolumnami cyfr buchalteryjnych, tak w Galicji, do niedawna, ginęła pod barwami cesarsko-królewskich mundurów. Wielkopolanin nie dostrzega interesów narodu po za ladą kupiecką swego szczęśliwie prosperującego przedsiębiorstwa, galicjanin tracił je z oczu po za stopniami karjery urzędniczej. A stopniami tymi stawały się dlań wszelkiego rodzaju pozycje, wszelkie zdobycze i zasoby, natury zarówno duchowej, jak materjalnej. Wykształcenie i bogactwo, dyplomy i doktoraty uniwersyteckie, talent, inteligencja, urodzenie, nazwisko, fortuna, zalety towarzyskie i moralne, — wszystko to na gruncie Galicji zmieniało się w pomost, po którym mieszkańcy jej, tłocząc się i spychając wzajemnie, dążyli do zajęcia stanowisk rządowych. Byt człowieka nazywał się tam ustalonym, gdy chwycił on za klamkę rządową,

Cała ludność kraju, uniesiona gorączką karjery, pięła się po szczeblach tej wysokiej drabiny, wszystką energję kładąc w pracę nad wyniesieniem się osobistym, aż gdy wreszcie po latach wysiłku, zabiegów, po trudzie wyczekiwania lub męce upokorzeń, ten i ów dobiegał do szczytu drabiny, zlewającego się ze szczytem marzeń, już w piersiach nie stawało mu tchu do pracy twórczej i płodnej na wysokiej, niekiedy na przenajwyższej placówce, i, zdyszany, obezwładniony gonitwą i szczęściem, zmożony rozkoszą, padał w progach dostojeństwa, nie śmiąc ręki wyciągnąć po władzę, która mu w udziale przypadła, zwłaszcza gdy była to władza — dźwigania swego kraju ojczystego z ubóstwa i ciemnoty.

Ileż najszlachetniejszych intencji uległo zaprzepaszczeniu w tej dziwnej karkołomnej ewolucji wiodącej od Tarnowa, Sokala, Przemyśla, Tarnopola, wreszcie Krakowa i Lwowa, a zmierzającej po przez szczeble dostojeństw ku Wiedniowi! Ile życzeń narodowych utonęło w tekach ministerjalnych Polaków, stojących na czele dykasterji państwowych!

Galicja wydając z łona swego niepospolitych

mężów stanu, pracujących dla dobra Austrji, poprzestawać musiała na moralnym uczestniczeniu w chwale ich imienia. Jej szczególne beneficjum polegało na tym, że jeśli często doznawać mogła uszczerbku, w swych interesach ekonomicznych lub społecznych, to sprawcą uszczerbku nie był nigdy obcy, ale zawsze swój, minister-rodak.

Koło polskie, zasklepione w polityce dynastyczno rządowej, nie miało czucia dla potrzeb Galicji: tym mniej zajmować się chciało sprawami, przekraczającymi granice zaboru austryjackiego. Życie ogólno-narodowe, ogólno polskie nie istniało dlań wcale.

Pokrewna zaściankowość wyodrębniła się i zakrzepła w kole przedstawicielstwa polskiego w Berlinie.

Ta sama wyłączność, ten sam duch izolacji, przebija się również z grona naszych posłów w Izbie petersburskiej.

Rzekłbyś, trzy odrębne ciała, trzy odrębne narody, nic wzajem ze sobą wspólnego nie czujące!

Tak przynajmniej było dotychczas.

Natomiast chwila ostatnia przyniosła nam wiadomość, że stan dotychczasowy już ulega zmianie.

Koło polskie w Wiedniu zrywa z tradycyjną taktyką bierności i swą potęgę wpływu rzuca na szalę stosunków międzynarodowych. Stawia żądania, i żądania swe popiera groźbą. Po raz pierwszy sięga po nad słupy graniczne, upominając się o krzywdy swych braci, pod obcymi rządy zmuszonych ciężkiego szukać zarobku.

I, zaiste, dość już było tego ministerjalnego lokajstwa, uniżenie chwiejącego się w pokłonach między Wiedniem a Berlinem!

Gdy narodowi łzy krwawe wyjadają oczy, gdy Prusak katuje dzieci wrzesińskie, lub biedotę galicyjską kańczugiem ustaw żelaznych zapędza w niewolę, gorszą od pańszczyzny, a potym wyrzuca jak bydło z granic kraju, wówczas posłowie nasi kokietowali Aerenthala; ministrowie polscy zaś nie śmieli sympatji berlińskich swego kolegi urazić.

Ale, nawet na gruncie austrjackim stając, przyznać trzeba, że obywatel monarchji Franciszka Józefa wart jest chyba poddanego Wilhelma, a korona Habsburgów nie ustępuje, co do wagi kruszcu i szlachectwa koronie Hohenzollernów, że tedy w odpowiedzi na rugi pruskie względem Polaków stosowane, ze wszech miar słusznym stanie się odwetem — rugowanie Prusaków z granic Austrji.

Oby Koło polskie, tak energicznie podjąwszy interpelację, przeciw oprawcom pruskim wymierzoną, znalazło w sobie dość hartu i konsekwencji dla wywalczenia godnej, należnej narodowi całemu satysfakcji!

Jako symptomat, byłby to znak zwycięzki niewątpliwie daleko posuniętej demokratyzacji i radykalizacji żywiołów społecznych, coraz sprawniej, coraz bezpośredniej ujmujących w dłonie wodze rządu; natomiast, jako zadatek przyszłości, czyn Koła polskiego w Wiedniu, czyn śmiały, mocny i aż do końca spełniony, stałby się podstawą przeświadczenia wobec swoich i obcych, że krzywda w jednej dzielnicy narodowi polskiemu wyrządzona, znajdzie żywy oddźwięk w sercach wszystkich Polaków.

PRZEGLĄD POLITYCZNY.

(Echa niedoszłej wojny. — Anglja na lądzie i na morzu. — Zatarg rosyjsko-perski.)

Szereg jaskrawych bardzo rewelacji ze źródeł angielskich wobec zdumionej i strwożonej nieco Europy dowiódł niezbicie, że w sierpniu i wrześniu tego roku

ECHA PRAWDY.

Kontredans polityczny z przygodami.

Genjalnym f a c e c j o n i s t ą nazwał ktoś Adolfa Nowaczyńskiego za jego artykuł dytyrambiczny o Wielopolskim. Nie zamierzamy tu bronić powagi autora „Facecji sowizdrzalskich": jakimż bo paradoksem byłaby obrona powagi takiego człowieka, który sam o powagę nie dba? Jednakowoż przyznać musimy, że utalentowany ów facecjonista jednocześnie tęgim okazał się wodzirejem! Jego piskliwy, falsetowy głos w jednej chwili objął komendę taneczną w salonie polityki warszawskiej. Nagłą ekstrawagancją tonu wyrwał pary tańczące z uprzedniej inercji ruchów, wprowadzeniem figur nieznanych sprawił powszechną śród nich dywersję, pomieszał tancerzy i tancerki w burzliwym tumulcie, a następnie, z zamętu skorzystawszy, błyskawicznie skrzyżował ze sobą wzajemne sympatje, odwrócił bieguny polaryzacji myślowej i... i...

...I gdy zasłona kurzu opadła, oczom wszystkich ukazał się obraz tak zdumiewający, jak pomysły romantyków.

Patrzcie! patrzcie na ten osobliwy taniec!

Jeszcze przed chwilą Narodowy Demokrata, odrzucając w tył wyloty amarantowego kontusza, obejmował ramieniem bladą postać Polonji Grottgerowskiej i złowrogo patrzał na Realistę, pieszczącego *vis à vis* chudą Ideę Margrabizmu.

Gdy raptem: — Changement des dames! — skomenderował pan Nowaczyński. Narodowy Demokrata wypuszcza z objęć białą Marzycielkę, zdając ją na los przypadku, i sunie ku swemu vis à vis, aby z rąk Realisty pojąć słaniające się widmo pani Ugody.

— Niech żyje pamięć Margrabiego!—woła autor „Figlików Sowizdrzalskich".

— Przeklęty niech będzie nagi trup Leonidasa! — odkrzyknął Narodowy Demokrata: Przeklęta w marmurowych kształtach piękna dusza! Przeklęta poezja Romantyzmu! A kysz, a kysz, a kysz... Wielopolski był bezwzględnie największą postacią polityczną XIX wieku!

Tymczasem, pozbawiony swej damy Realista, stał przez chwilę w zakłopotaniu, nie wiedząc, czy smucić się ma, czy cieszyć pozyskaniem wspólnika w hołdach, składanych u zimnych stóp Idei Margrabizmu. Na jedno mgnienie spojrzał w oczy opuszczonej bladolicej Polonji, postąpił krokiem, lecz nagle cofnął się i zamarł, własną zdumiony odwagą. Po niejakim dopiero czasie, odzyskawszy równowagę, odchrząknął, dotknął dumną ręką swej gwiazdy szambelańskiej i przywtórzył platonicznie okrzykowi Narodowego Demokraty:

— Vivat Wielopolski, największy XIX wieku bohater! Vivat tandem Nowaczyński, Homerus nowoczesny! Vivat takoż Narodowy Demokrata, nawrócony grzesznik! Vivat nasza Trójca Nieromantyczna!

— A ja gwiżdżę na waszą trójcę! na *taką* trójcę gwiżdżę! — ozwie się znienacka p. Czesław Jankowski.

wielka wojna europejska wisiała na włosku. Wprawdzie wszystkie gazety były w tym czasie pełne alarmujących nowin, ale szeroki ogół traktował je dość sceptycznie, jako zwykłe „kaczki” w pogoni za sensacją w sezonie ogórków. To też Europa czuje się niemile wstrząśniętą, gdy z kół urzędowych brytańskich przyszło potwierdzenie groźnych dyspozycji minionego lata, razem z bezsprzeczną na ten raz pewnością, że antagonizm anglo-niemiecki osiąga właśnie teraz najwyższy stopień natężenia.

Oto w krótkich słowach przebieg wypadków —niedoszłych. Kapitan Faber, torys, członek Izby Gmin, wygłosił w Andover mowę, z której wynika, że w krytycznej chwili zatargu o Marokko gabinet angielski, na wniosek pp. Lloyd-George'a, lorda Haldane i Winstona Churchill'a, uchwalił rzucić na kontynent 150,000 regularnego wojska na pierwszy sygnał, a jednocześnie flota wojenna stanęła w zupełnej gotowości na morzu Północnym.

Dyspozycje tego rodzaju wstrząsnęłyby światem, gdyby je uczyniono jawnie; oparł się temu Mac Kenna, pierwszy lord admiralicji, nietyle ze względów strategicznych, ile by nie wywołać powszechnej paniki. W następstwie jednak Mac Kenna ustąpił z piastowanego przez się urzędu, który objął młody i energiczny Winston Churchill...

Rewelacje kap. Fabera wywołały olbrzymie wrażenie. Ze swej strony *Times* poparł je serją ciekawych szczegółów, wyświetlających związek pomiędzy postawą Niemiec a wielkim strejkiem kolejowym, jaki srożył się w Anglji w owym czasie. Strejk wybuchnął 17 sierpnia; nazajutrz p. von Kiderlen-Waechter postawił p. Cambonowi żądania, uprzednio już poniechane. Nastąpił moment krytyczny; ruchy Anglji były znagła sparaliżowane... Lecz d. 19 sierpnia strejk ustał dzięki sprężystej interwencji Lloyd-Georga; natychmiast, bo 22 sierpnia p. von Kiderlen-Waechter spuścił z tonu i nawiązał na nowo rokowania w duchu pojednawczym, zapowiadając dodatni ich wynik na wrzesień lub październik. „Zatym — stwierdza *Times* — kryzys marokański w sierpniu bardzo ściśle i dzień po dniu wiązał się z naszym kryzysem wewnętrznym (strejk kolejowy), obydwa zaczęły się i skończyły jednocześnie”.

Jak dalece położenie było krytyczne, świadczy fakt, ostatnio też ujawniony, że w sierpniu oddział kontrtorpedowców angielskich z turbinami szedł chyłkiem wślad za flotą niemiecką, płynącą z Kielu do Norwegji, podczas gdy dwie dywizje *dreadnoughtów* czekały w zupełnej gotowości na morzu Północnym. Jeden niezręczny giest *Pantery* w porcie marokańskim mógł był wtenczas rozpętać nad flotą niemiecką sztraszliwy orkan ognia i żelaza.

Należy zauważyć, że uprzednio jeszcze, bo w końcu lipca, toczył się w Londynie *á propos* Pantery, ciekawy djalog pomiędzy sirem Edwardem Greyem a hr. Wolfem von Metternich, ambasadorem niemieckim. Na zawiłe wywody tego ostatniego odpowiedział brytański dyplomata krótko i oschle: „Jeśli Niemcy dojdą do porozumienia z Francją — to dobrze, ale jeśli nie dojdą — to i Anglja wmiesza się do rozmowy”.

Działo się to d. 21 lipca; tego samego dnia wieczorem Lloyd-George wygłosił ową słynną przemowę, która tyle krwi napsuła Niemcom i której dotychczas darować mu nie mogą. D. 24 hr. Wolf von Metternich przybieżał do *Foreign Office* ze skargą, że *speech* burzliwego ministra miał *a provocative effect*, na co Edward Grey odparł wyniośle: „Mowa mego kolegi jest utrzymana w umiarkowanym tonie. Nie nasza wina, że opinja niepokoi się, widząc manewry Niemiec w Agadirze. Ale wiedźcie panowie, że jeśli interes nasz draśnięty będzie w trakcie rokowań marokańskich — będziemy go bronić”. Szczegóły tego djalogu odsłonił w części p. von Kiderlen-Waechter przed komisją budżetową Sejmu Rzeszy d. 17 listopada, w części zaś uczynił to sir Edward Grey w poniedziałek d. 27 t. m. w Izbie Gmin, gdzie słuchano go z niezwykłym natężeniem uwagi po sensacyjnych odkryciach zeszłego tygodnia. Angielski minister spraw zagranicznych zbyt biegłym jest dyplomatą na to, by wypowiedzieć się wyraźnie, czego spodziewali się ludzie naiwni w rzeczach polityki: tym nie mniej z poprawnych zdań, jakie wygłosił, wyłania się ostra krytyka całego zachowania się Niemiec, które mniej powściągliwy sędzia nazwać może poprostu

---

— Któż ośmiela się gwizdać w tym gronie? Kto śmie z nas drwić na Olimpie? — zawrzaśnie Narodowy Demokrata.— Przebóg!!! toż to gwiżdże sam współpracownik *Słowa*... Realista, filar polityki ugodowej, bagatelizuje sławę Margrabiego, kabaret wnosząc do polityki!... Och! mdleję... ratunku... Oh! czasy, czasy!...

Rzucono się cucić Narodowego Demokratę, który omdlał naprawdę. Wypadek okazał się groźniejszy, niż przypuszczano. Od pewnego czasu odgłosy świstu na system nerwowy Narodowego Demokraty działały wprost zabójczo. Tymczasem zaś pan Jankowski drwić i gwizdać nie przestawał. Gdy wkrótce przyłączył się doń pan T. G. i gwizdać zaczęli obaj, sytuacja stała się nie do zniesienia. Postanowiono wezwać skądkolwiek zasiłków celem obrony Margrabizmu i zgłuszenia świstów opozycji.

— Wszakże Margrabia jest patronem asymilacji! — przypomniał Nowaczyński.

— Tak! tak! Wielopolskiemu żydzi polscy zawdzięczają prawa obywatelskie, — szepnie realista ortodoksyjny.

— Hola! zawoła groźnie p. Artur Śliwiński, osadzając w miejscu kokieteryjne zapędy nieromantycznej trójcy: — imieniem żydów ja tu przemawiam. Ja na hołdy żydów nie pozwolę! Ja wdzięczność ich dla reform Margrabiego potrafię ukrócić. Precz z Margrabią! Był to ostatni mąż stanu w Królestwie Kongresowym, ale na tym koniec. Słyszycie? Koniec!

Tego już było nadto uczestnikom zabawy. Mogli oni znieść przeniewierstwo względem „Błękitnej Królowej” Narodowego Demokraty i lekkomyślną zdradę względem „białego” sztandaru p. Jankowskiego i „figliki” pana Nowaczyńskiego, ale oschłości serca ze strony żydów polskich względem Margrabiego znieść nie mogli. Taniec przerwano natychmiast. Pary rozeszły się w milczeniu.

Intelekt naszych beletrystów.

Stanisław Brzozowski nazywał intelekt polski największym w dziejach naszych męczennikiem. Skarga Konrada mickiewiczowskiego, wyrzucającego Bogu, iż oddał „myślom świata użycie”, serca zaś „na wiecznej zostawia pokucie”, może być słuszna w Anglji, w Niemczech lub we Francji, ale nigdy w Polsce. W naszej bowiem Polsce serca znajdują sutą karm' w tęsknocie, odżywiają się melancholją i mogą tyć na mistyce, pęczniejąc aż do przerostu tkanek, natomiast intelekt, umysł poznający i badawczy, jest tym nieszczęsnym pokutnikiem, na głód skazanym i na wieczny bezprzytułek, który wciąż po niegościnnych błądząc drogach, potyka się i kuleje.

Pokutuje on zarówno w szkołach, jak w instytucjach społecznych, w ciałach zbiorowych, jak w jednostkach. Atoli dziedziną, w której kalectwo jego i upośledzenie najboleśniej się uwydatnia, jest twórczość literacka.

Poruszaliśmy niedawno w naszym piśmie temat upadku powieści literackiej, wykazując wzrastające niebezpieczeństwo zalewu ze strony literatury sensacyjnej, bezmyślnej, płytko efekciarskiej i grubijań-

tchórzliwym szantażem, w porę odsłoniętym i odpartym. Jakoż w prasie niemieckiej przebija bardzo kwaśny nastrój względem imprezy marokańskiej, a krążownik *Berlin* w tenże poniedziałek otrzymał rozkaz wyjazdu z Agadiru, gdzie wypadło mu przez 5 miesięcy grać dość niepochlebną i śmieszną rolę.

W zatargu rosyjsko-perskim zaszło nieznaczne polepszenie. Idąc za radą Anglji rząd perski uczynił zadość żądaniom zawartym w rosyjskim ultimatum, wycofał swoich żandarmów z posiadłości ks. Szoa-es-sultane i przeprosił solennie posła rosyjskiego w Teheranie. Mimo to jednak wojsko rosyjskie wkroczyło do Persji, charakter zaś tego kroku tłómaczy komunikat urzędowy z d. 26 listopada tym, że perski radca finansowy p. Morgan-Shuster napisał list do *Timesa* z ciężkimi przeciw Rosji zarzutami, co wymaga nowych wyjaśnień.

W zaborze pruskim.

Rozpisanie wyborów. — Wybory w Raciborskim. — Sytuacja na Górnym Śląsku. — O kandydaturę Korfantego.

Przed kilku dniami w *Norddeutsche Allg. Ztg.* zjawiło się urzędowe obwieszczenie o terminie wyborów do parlamentu Rzeszy. Odbędą się one dnia 12-go stycznia, a więc zaledwie około dziesiątka tygodni dzieli nas od wypadków, których doniosłość odczuwa tak ludność państwa niemieckiego, jak i rząd. Oddawna już nie było wyborów tak znamiennych, jak najbliższe. Od ich wyniku bowiem zależy cały kierunek dalszej ewolucji Niemiec, od nich zależy los dalszej walki mas pracujących i żywiołów szczerze postępowych z systemem zamaskowanego absolutyzmu.

To też i rząd i partje polityczne na całym obszarze Niemiec oddawna już gotują się do bliskiej walki wyborczej. A ziemie polskie zaboru pruskiego są również widownią gorączkowych przygotowań do niedalekich już zapasów. W Poznańskim i w Prusach Zachodnich nie znać wprawdzie jeszcze tego ożywienia, jakie ogarnęło prowincje niemieckie. Natomiast Górny Śląsk stoi w płomieniach walk przedwyborczych już od paru miesięcy. I Niemcy i Polacy odbywają tam liczne konferencje, zjazdy, zwołują zebrania i wiece pod gołym niebem, zawierają kompromisy i ustalają kandydatury.

Jakby przygrywką do wyborów ogólnych były wybory uzupełniające, które się przed kilku dniami odbyły w jednym z okręgów górnośląskich, już na kresach polskiego obszaru językowego, w Raciborskim. Wybory te dały wynik bardzo charakterystyczny, a zarazem pozwalający na czynienie pewnych wniosków na przyszłość, jakkolwiek sam okrąg raciborski różni się nieco stosunkami narodowościowymi od reszty okręgów górnośląskich.

Chodzi o to, że Raciborskie nie posiada jednolitej polskiej większości. Polacy stanowią w nim około 45 proc. i przeważają Niemców liczebnie dopiero razem z Morawianami. Ci ostatni są żywiołem mało uświadomionym pod względem narodowym, za słabym, aby wystąpić samodzielnie, niedostatecznie wyrobionym politycznie, by iść ławą solidarnie z budzącymi się do życia samodzielnego Polakami. To też w swej walce emancypacyjnej z pod dotychczasowej przewagi katol. centrum Polacy w Raciborskim są osamotnieni. Dodać też należy, że i ruch polski w Raciborskim nie doszedł jeszcze do tego napięcia, jakie już osiągnął w innych, szczerze polskich okręgach górnośląskich. Stąd w parlamencie okrąg ten był stale reprezentowany przez centrowców.

Przy ostatnich wyborach do walki wystąpili w Raciborskim czterej kandydaci: centrowiec Sapletta (prawdopodobnie niegdyś Šapleta), ksiądz Banaś — Polak, konserwatysta Lüdke i socjalista niemiecki — Schwob. Nadmienić należy, że przy wyborach poprzednich, w r. 1907-ym, odrazu zwyciężył kandydat niemiecko-klerykalny, centrowiec Frank, otrzymawszy 11,410 głosów, na drugim miejscu znalazł się konserwatysta niemiecki, rządowiec (5,105 gł.), kandydat polski szedł dopiero po nich. Obecnie sytuacja zmieniła się radykalnie. Wprawdzie i teraz największą ilość głosów uzyskał centrowiec, ale padło na niego

---

skiej. Ale pomijając nawet ów najniższy poziom twórczości i sięgając wzrokiem ku stopniom wyższym i najwyższym literatury naszej, a zwłaszcza beletryki, przekonamy się, iż wszędzie wyobraźnia i uczucie próbuje skrzydeł nie bez powodzenia, zato intelekt chroma beznadziejnie.

Szczególnym zdejmuje smutkiem to, iż pod względem napięcia intelektualnego, beletrystyka polska, miast postąpić naprzód, w stosunku do okresu poprzedniego, cofnęła się, i to znacznie, i z każdym dniem cofać się nie przestaje. Ów silny pęd umysłowy, którym młode pokolenie pozytywistów uderzyło w zmartwiały i wykolejony naród, niosąc nowe ideje, nowe teorje, nowe prawdy i pojęcia, powoli wyczerpuje się i zagasa. Krótki, ale rozstrzygający tryumf pozytywizmu był ocknieniem dla myśli polskiego mózgu. Polak bowiem, w dniach niedoli lub uciemiężenia, z mózgu swego zwykł ofiarę czynić najpierwszą, praw do myślenia zrzekał się najchętniej i, gdy trzeba coś było poświęcić, najskwapliwiej poświęcał — intelekt.

Pozytywizmu tedy stało się zasługą, że, wbrew nałogom zastarzałym, dokonała się jednak w społeczeństwie pewna przemiana wartości, na korzyść praw zwierzchniczych rozumu. Ów to pozytywizm stał się rycerzem nowoczesnym, który podjąwszy walkę o umysłowość narodu, usiłował mózg polski wydrzeć ze szpon drapieżnych sępa, który jego krwią się żywił; pozytywizm dowiódł, że rozwój intelektualny, potęga umysłowości, stanowi jeden z najżywotniejszych zadatków odrodzenia narodowego, i że przeto czynnik ów należy nieustanną wzmacniać i pogłębiać uprawą.

Dzięki tym usiłowaniom pozytywizmu znakomicie podniósł się poziom myślowy beletrystyki polskiej w latach 1880 — 1900. To, co tak bujnym strzeliło kwiatem w twórczości Młodej Polski, aromat swój, niekiedy egzotyczny, zawdzięczać mogło powiewom obcym z Zachodu, ale soki wewnętrzne swego rozrostu, bujność pędu i potęgę życia zaczerpnęło z gleby macierzystej, z zasobów duchowych, pilnie a skrzętnie gromadzonych w skarbcu umysłowości przez bojowników pracy organicznej.

Najwymowniej to bije z dziejów twórczości Żeromskiego i Kasprowicza, których dzieła zatrzęsły duszą i sumieniem narodu. Sięgnijmy do pierwocin ich talentu: czyż początkowe, młodzieńcze ich utwory nie zrodziły się z zachwytu i uwielbienia dla pracy organiczników?

Czyż słowa ich natchnione ideą apostolstwa, nim rozpłonęły w pożogę męki nad niedolą „cierpiącego w ojczyźnie Człowieka", nie były pobudką i pieśnią uskrzydlającą od czynu ramiona *siłaczów i siłaczek*?

Ale już i w utworach wcześniejszych pisarzy, obecnie do ustępującego należących pokolenia, przebijał się prąd umysłowy żywy i wysoki. Cokolwiek zarzucić możnaby *Lalce* Prusa, lub jego *Emancypantkom*, czy wreszcie *Faraonowi*, przyznać musimy, że panuje w nich atmosfera inteligencji potężnej, o widnokręgach szerokich, okalających współczesne obszary cywilizacji.

A dziś? — Dziś, o większości autorów usiłują-

już tylko 8,675 głosów t. jest bezmała o 3000 mniej niż w r. 1907-ym. Kandydat rządowo-konserwatywny stracił 1,600 głosów, skutkiem czego na drugie miejsce wysforował się kandydat polski, który też idzie do wyboru ściślejszego z kandydatem centrowców. Kandydat socjalistyczny uzyskał 500 głosów nowych (zamiast 1294 — 1793), przyczym w samym Raciborzu liczba głosów socjalistycznych podwoiła się. Oczywiście, i tym razem jeszcze przy wyborach ściślejszych zwycięży centrowiec, którego poprą przeciwko Polakowi konserwatyści. Bądź co bądź jednak olbrzymi spadek głosów konserwatywnych i klerykalnych (tak niemieckich, jak i polskich, gdyż ks. Banaś otrzymał o przeszło 200 głosów mniej niż kandydat polski w r. 1907-ym) oraz dość znaczny wzrost socjalistycznych świadczy wymownie o radykalizowaniu się nastroju masy wyborczej — zły znak dla żywiołów reakcyjno-rządowych.

Najzaciętsza walka przedwyborcza wre w górnośląskim okręgu przemysłowym i w jego sąsiedztwie. W okręgach wyborczych Katowice-Zabrze. Bytom-Tarnowskie Góry, Pszczyna-Rybnik, Gliwice-Lubliniec zanosi się na walkę uporczywą i zaciętą. Tu już prawie wszystkie partje zgłosiły swe kandydatury, wyjątek stanowi tylko polski obóz narodowo-klerykalny. Ten (przynajmniej oficjalnie) trzyma większość nazwisk kandydatów w tajemnicy.

Najciekawszą jest sytuacja w okręgu katowicko-zabrskim, skąd dotychczas (po odebraniu tego okręgu centrowcom przez Polaków) dwukrotnie posłował narodowy demokrata, Wojciech Korfanty. Po raz pierwszy wyszedł z wyborów ściślejszych, poparty przez P. P. S., w r. 1907-ym — odrazu. Karjera tego typowego demagoga i krzykacza narodowo-demokratycznego obfitowała w koziołki programowe. Ostatni z nich jednak był czymś zgoła nieoczekiwanym. Korfanty bowiem, zwalczający z niesłychaną zaciętością kierunek ugodowo-klerykalny wydawcy *Katolika*, Napieralskiego, nagle znalazł się w partji tego ostatniego. Sprzedał mu bowiem za gotówkę dziennik narodowo-demokratyczny — *Górnoślązak* i wszedł do redakcji *Katolika* jako współideowiec Napieralskiego.

Ta, niczym nieupozorowana nawet zdrada dotychczasowego sztandaru przez przywódcę narodowej demokracji zadała cios straszliwy tej ostatniej. Masy, wierząc w uczciwość polityczną Korfantego, ogarnęło zniechęcenie i zreorganizowana po zdradzie Korfantego narodowa demokracja górnośląska znalazła się w położeniu rozbitków, a jej nowy organ *Gazeta Ludowa* rozporządza dość nikłymi wpływami. Zwalczanie Korfantego i dyskredytowanie go w oczach mas ludowych stało się głównym celem tej grupy. Oświadczyła też ona, że za nic nie dopuści do ponownego kandydowania Korfantego z okręgu katowicko-zabrskiego. *Gazeta Ludowa* zamieszcza takie wycieczki przeciwko Korfantemu, jakie dotychczas czytało się wyłącznie w organie P. P. S. — *Gazecie Robotniczej*. Narodowi demokraci posuwali się aż do rozbijania wieców publicznych, zwołanych przez Korfantego, poufnie zaś oświadczali, że gotowi raczej poprzeć socjalistę niż Korfantego. Groźby te były tak niedwuznaczne, wypowiadano je z taką stanowczością, że obóz „katolikowców" na serjo począł się zastanawiać nad kwestją, stawiać czy nie stawiać kandydaturę Korfantego. Wprawdzie sam Korfanty agitował niezmordowanie za sobą samym w całym okręgu, forsował swą kandydaturę na komitetach powiatowych, lecz kierownictwo „katolikowców" zaczęło się już oglądać za innym kandydatem. Tego bowiem wymagała niepewna sytuacja w okręgu katowicko-zabrskim.

W r. 1907-ym Korfanty został wybrany 52 proc. głosów, a więc bardzo nieznaczną większością. Ryzykować więc niepodobna, bo wobec znacznego rozwoju ruchu socjalistycznego w tym okręgu i niechęci narodowych demokratów do Korfantego losy wyborów ściślejszych są bardzo niepewne. I, o ile się nie przeforsuje kandydatura odrazu, może się stracić okręg na korzyść przeciwnika. To też Napieralski upatrzył już innego kandydata w osobie Sosińskiego — prezesa „Zjednoczenia zawodowego", demagoga tegoż typu, co i Korfanty, jednak robotnika, co jest ważnym atutem w okręgu tak proletarjackim, jak katowicko-zabrski.

Tymczasem nastąpił nowy zwrot w opinji naro-

---

cych zdobyć ostrogi rycerskie na polu literackim, rzec wypada, iż są to, wobec zadań intelektualnych swej ery, poprostu — nieucy. Nawet ci, którzy piszą dla tak zwanej „elity", dla kół ukształconych.

Daremnie Karol Irzykowski w swej *Pałubie* tudzież w swych ciętych, ostrych artykułach wydrwiwał papinkowatą bezmyślność naszego powieściopisarstwa, żądając od literatów i poetów żywego i czujnego uczestnictwa w postępie ludzkości.

Beletryści pozostali głusi i obojętni zarówno na strzały krytyki jak i na tętno współczesnej myślącej Europy. Gdy tak nadal trwać będą w swym uporze ignorancji, rychło przyjdzie chwila, iż zepchnięci w szereg maruderów kultury, staną się balastem na fali ruchu społecznego.

Świadek i podsądny w jednej osobie.

Weźmy do ręki dwie powieści, które wydała niemal chwila ostatnia: *Pod Mysią Wieżą* i *Hakatę*. Obie wyszły z pod pióra autorów, nie pierwszych-lepszych, ale już znanych, rozporządzających szerokim kołem czytelników. Pierwszą napisał p. Maciej Wierzbiński, mający już poza sobą pokaźny liczebnie plon beletrystyczny, w postaci utworów, wydanych nakładem najwybitniejszych w kraju firm księgarskich. Autorem zaś *Hakaty* jest p. Ludwik Romocki, referent spraw Poznańskich na łamach *Kurjera Warszawskiego*. Ta ostatnia placówka, jak wiemy, nie jest strażnicą rycerską, niemniej wszakże daje możność rzucenia swego nazwiska na falę kilkunastu tysięcy głów i kilkuset tysięcy języków.

Wybraliśmy ich dzieła dlatego, iż oba dają nam obraz środowiska polskiego w zaborze pruskim, i oba dają obraz — ujemny.

Wionie z ich dzieł wrażenie smutku, rezygnacji, przygnębienia i goryczy. Stawią one rodaków naszych, Wielkopolan, w stan ciężkiego oskarżenia, wobec ideałów narodowych. Malują czarnymi barwami teraźniejszość i dzwonią na trwogę, złowieszczą ukazując przyszłość. Wołają, że duch odporności słabnie; że duch polski karleje; że twórczość ducha polskiego zamiera i gaśnie! Tam, gdzie genjusz Piastów ongi dźwignął do życia państwo polskie, i w karbach jego wychował polski naród, tam, gdzie stała nasza kolebka dziejowa, tam dzisiaj otwiera się przed nami grób!

Oto młody lekarz, z wszechnic obcych wraca do kraju i osiedla się w Poznaniu. Zrazu ożywiony ideą służenia sprawie narodowej, szybko zwija sztandar bojowy; osaczony naciskiem władz pruskich, grzęźnie w rachubach oportunizmu, poddaje się podszeptom przeniewierstwa, gwałci sumienie własne i egzaltując nadzieje zysków osobistych kosztem dobra publicznego, kończy okrzykiem: *Pereat Polonia!* Niech żyje praktyka lekarska!

Oto redaktor pisma prowincjonalnego, borykający się z zalewem niemczyzny. Otoczenie uważa go za utopistę. Gdy skazany za przestępstwo prasowe na półroczne więzienie, znikł z oczu swego środowiska, zapomniano o nim natychmiast Dawni przyja-

dowych demokratów. Oto bowiem *Kurjer Poznański* oświadcza, że grupa narodowo demokratyczna zdecydowała się usunąć z komitetów wyborczych na powiat katowicko-zabrski i nie przeciwstawiać Korfantemu żadnej kontrkandydatury.

Ułatwia to wprawdzie położenie Korfantego i nieujawnia gorszącego rozłamu w obozie „narodowym", chętnie i dużo deklamującym o koniecznej solidarności w walce ze wspólnym wrogiem. Niemniej jednakże zadowolić nie potrafi tych z wyborców Korfantego, którzy głosowali w r. 1907-ym na niego, jako na narodowca, teraz zaś widzą w nim zdrajcę, zaprzedanego ugodzie. I bezwarunkowo znaczna ich część odda swój głos kandydatowi socjalistycznemu, bardzo dzielnemu organizatorowi i dobremu Polakowi, Józefowi Biniszkiewiczowi, którego kandydaturę w katowicko-zabrskim wysunęła P. P. S.

Poważne szanse kandydaci socjalistyczni posiadają w dwóch okręgach górnośląskich — w dopiero co wymienionym katowicko-zabrskim i w sąsiednim — bytomsko-tarnogórskim. Przy poprzednich wyborach w pierwszym z nich na kandydata socjalistycznego padło 5,655 gł., w drugim — 5,974. I gdyby przyszło do wyborów ściślejszych, głosy socjalistyczne rozstrzygałyby o wyborze tego czy innego kandydata.

Obserwator.

Jeszcze jedna międzynarodówka.

Odbywa się w tej chwili w Turynie, gdzie czynna jest również Wystawa Powszechna, *Pierwszy Międzynarodowy Zjazd Pracodawców*, a ściślej mówiąc Kongres przedstawicieli patronalnych związków zawodowych, obejmujących wszystkie dziedziny przemysłu i rolnictwa.

Związki patronalne *poszczególnych zawodów* zwoływały już konferencje, w których brały udział delegacje rozmaitych krajów; na konferencjach tych zakładano też pierwsze międzynarodowe organizacje patronalne, ale obejmujące, jak zaznaczyłem, tylko *poszczególne zawody.* Dzisiaj jednak czynione są próby utworzenia takiej organizacji dla *wszystkich* zawodów. Gdyby projektowana organizacja, chociaż zakrojona początkowo na wązką skalę, doszła do skutku, byłaby to przepotężna, nieznana w dziejach socjologji instytucja *zachowawcza*, zdolna zatamować rozwój społeczeństw na długie może lata! Żadna inna organizacja międzynarodowa nie byłaby w stanie jej się przeciwstawić, a teren walki klas przybrałby odtąd charakter jeszcze bardziej zgubny dla dzieła cywilizacji...

Na wszystkich dotychczasowych konferencjach patronalnych i na dzisiejszym Kongresie omawiane są przeważnie dwa punkty porządku dziennego: 1) utworzenie takiej międzynarodowej organizacji, która byłaby zrzeszeniem możliwie największej ilości zawodów należących do rozmaitych krajów i 2) nakreślenie szczegółowego planu walki z organizacjami robotniczymi. Ten punkt mający największe dla nich znaczenie, głównie zajmuje kongresistów.

Komitet, któremu kongres dzisiejszy zawdzięcza inicjatywę oraz prace przedwstępne, wyłonił się z dwóch organizacji włoskich — Włoskiej Konfederacji Przemysłowej i Narodowej Włoskiej Konfederacji Rolniczej; oba te związki kapitalistyczne znane są oddawna jako wręcz nieprzejednane, gdy chodzi o reformy socjalne, uznanie syndykatów robotniczych, jako osoby prawnej, ustępstwa na rzecz klasy pracującej i t. d. Otóż ten Komitet rozesłał zredagowany w kilku językach okólnik, który nie pozostawia żadnej wątpliwości co do celów i tendencji zjazdu turyńskiego; opiewa bowiem wyraźnie, że „zadaniem odbywającego się w tej chwili kongresu międzynarodowego" jest „centralizacja wszystkich organizacji patronalnych" i „opracowanie głównych dyrektyw walki ze związkami robotniczymi". Dalej w tymże okólniku czytamy: „szczególny nacisk kładzie komitet na konieczność ustalenia specjalnych i stałych czynników, któreby skutecznie działały z naszej strony w zatargach pomiędzy organizacjami robotniczymi".

Na Kongresie odczytano dotychczas i dyskutowano trzy reformy: 1) „Organizacje patronalne: ich stan obecny, taktyka oraz formy akcji czynnej"; 2) „Stosunki pomiędzy organizacjami patronalnymi i robotniczymi"; 3) „Klasa patronalna oraz ustawodawstwo społeczne w związku z robotniczym".

---

ciele go zawiedli; ogół wykreślił go z pamięci. Kto ponosi dla sprawy polskiej ofiary, ten w oczach ogółu poznańskiego jest manjakiem.

Oto dziesiątki ludzi, porwanych pogonią za groszem, zmaterjalizowanych, obcych historycznym ideom polskim! Teatr narodowy jest dla nich zbytkiem nadto kosztownym. Literatura jest ciężarem. Sztuka polska jest urojeniem. Polityka istnieje o tyle, o ile wyjednać może zmiany w ustawie celnej, korzystne dla kilkudziesięciu fortun magnackich w Księstwie, choćby zmiany te poderwać miały byt ekonomiczny reszty współbraci, nieobjętych przywilejem. Pugilaresy i kieszenie tych ludzi wcielone zostały przez nich do organizmu i za pomocą tętnic, żył, tudzież włókien nerwowych połączone z sercem i mózgiem. Stąd to w zaborze pruskim obserwuje się na każdym kroku śród Polaków tę szczególną przypadłość psycho-fizjologiczną, iż portmonetka staje się tam, poniekąd, narządem czucia i myślenia, natomiast mózg i serce przypinają skrzydła poezji — portmonetce, i uczuciem dumy obywatelskiej wydymają pulsującą kieszeń.

Autorowie, obarczający zarzutami tak dotkliwymi społeczeństwo poznańskie, obaj wyrośli z gleby tamtejszej; świadectwa ich przeto mają wagę siły niepomiernej; mają dla nas znaczenie dowodów rozstrzygających, pochodzą bowiem z ust świadków i postrzegaczy bezpośrednich, którzy widzieli *na oczy swoje* to, o czym piszą.

Ta naoczność i bezpośredniość w doznawaniu wrażeń a zarazem szczerość i odwaga w wypowiedzeniu swych sądów, zniewalają nas do żywej względem obu autorów wdzięczności i każą nam pochylić czoło przed — zasługą.

Wszelako uznanie i szacunek, jaki czujemy względem zeznań świadka, nie może zasłaniać nam oczu na samą postać świadka, składającego zeznanie. *Jego* wzrokiem patrzyliśmy na społeczeństwo; z kolei własnym wzrokiem spójrzmy *na niego.*

Stawmy obu autorów przed trybunałem współczesnej kultury!

Cóż się okaże?

Wynik poprostu paradoksalny: wynik ten, że obaj oskarżyciele ulec muszą sami oskarżeniu. Każdy ze świadków, złożywszy zeznania, obciążające podsądnych, sam natychmiast, na podstawie zeznań własnych, na ławie podsądnych winien być posadzony.

Ten sam wyrok, który oni ciskają na głowy swych ziomkow, spadając, musi ciężarem swym złamać ich własne wyrokujące pióra!

Oskarżają ci ludzie rodaków swych o bezduszność i bezmyślność i, niestety, oskarżają słusznie: lecz jakże to sami oni po polsku mówią, jakże to oni sami myśleć umieją?

By uniknąć gołosłowności, przytaczamy tu z powieści p. Romockiego jedną kartę tekstu, która co do stylu i czystości języka niczym od innych się nie różni:

Jak widać więc, obradującym w Turynie przemysłowcom chodzi jedynie o bezwzględne panowanie nad klasą robotniczą, o zapewnienie sobie zwycięstwa w zatargach, które wybuchną w najpomyślniejszej dla nich chwili, o przeciwdziałanie reformom społecznym podejmowanym przez rządy postępowe, o wypracowanie prawodawstwa robotniczego w duchu interesów kapitału, o zniszczenie związków robotniczych i t. d. i t. d. Osiągnąć to wszysko i opracować zgodne, jednakowe dla wszystkich organizacji patronalnych metody walki z klasą robotniczą nie wydaje się kongresującym w Turynie kapitalistom zbyt trudnym do urzeczywistnienia, ponieważ „proletarjat — czytamy dalej w okólniku — posiada wszędzie ten sam charakter, cechują go wszędzie te same przymioty i wszędzie (wreszcie) posługuje się jednakowymi środkami działania".

W dążeniach tej nowej i zwartej *międzynarodówki*, należy podkreślić charakterystyczny szczegół, że postanowiła ona walczyć do upadłego, i nie przebierając w środkach, z klasą robotniczą wogóle: nietylko z tą jej częścią, którą cechują dążności przewrotowe, ale nawet z tą, która przejęta jest duchem reformistycznym, postępowym.

To też podczas niedawnego strajku robotników budowlanych w Paryżu skromne ich żądania (dotyczące zmniejszenia dnia roboczego o godzinę z odpowiednim zmniejszeniem płacy) zostały odrzucone bezwzględnie i brutalnie. Przypomnijmy jeszcze, że podczas tego strejku zabito pewnego robotnika, który pozostawił żonę i 6-cioro dzieci, dla których do dzisiejszego dnia pisma zbierają składki; robotnika zaś tego zabił łamistrejk, uzbrojony w rewolwer, otrzymany od przedsiębiorców. Przytoczyłem ten szczegół dla lepszego uwypuklenia metod i siły związków patronalnych. Zresztą, obrady Kongresu, starannie skrywane przed prasą, potwierdzają tylko postawioną wyżej tezę, że kongresistom chodzi poprostu o przywrócenie średniowiecznych stosunków feodalnych i panowanie nad życiem i mieniem robotnika.

Kładąc podwaliny pod gmach solidarności kapitału, Kongres tych nowoczesnych feodałów poddaje zarazem ostrej krytyce panujące w Europie rządy, „haniebnie chwiejne wobec rozwydrzonej garści anarchistów". Od postawy i „lojalności" władz zależy więc decyzja związków patronalnych: tam, gdzie rząd jest po ich stronie — rozpędzać i więzić komitety strejkowe; tam, gdzie co do „lojalizmu" zachodzi wątpliwość, najlepiej ogłosić lokaut, który, im „więcej ogarnie miejscowości, tym większe szanse przysporzy zwycięstwa".

Widzimy, że wobec „dynamiki" proletarjackiej, która zresztą jest tylko symboliczną wskutek wiecznych sporów i rozdwojenia, panującego we wszystkich partjach robotniczych, dynamika przedsiębiorców przybiera daleko konkretniejsze kształty, grożąc oporem *à outrance* wszystkim reformom socjalnym w dziedzinie prawodawstwa robotniczego, stopniowo wprowadzanym w życie przez rozmaite rządy radykalne.

S. Auerbach.

BADANIA NAUKOWE.

Mnichy i Papieże.

5)

(Dokończenie).

Glaber, istotnie, żył w jednym z okresów najbardziej opłakanych dla chrześcjaństwa rzymskiego. Ortodoksja kościelna, wycieńczona gorączką i głodem widzeń zaświatowych, widziała się bezsilną wobec ruchów odszczepieńczych i jeden tylko posiadała oręż przeciwko herezjom: przemoc fizyczną. Wówczas to po raz pierwszy zapłonęły stosy na ziemiach, kędy głoszono Jezusową ewangelję miłości i przebaczenia. We Francji pierwszy wypadek spalenia ludzi na stosie za odstępstwo religijne zaszedł za panowania króla Roberta, któremu wielka gorliwość wyznaniowa zjednała przydomek Pobożnego. Sektą, która pierwsza ściągnęła na siebie tę nieludzką karę, byli wyznawcy epikureizmu: epikurejczycy, bowiem, w średniowieczu, wbrew założeniom pogańskiego filozofa, swego twórcy, byli sektą wojującą i ekspanzywną. W okresie wielkich starć gwelfów z gibelinami, pod rządami Hohenstauffenów i niemal aż do czasów Bo-

---

„Najpierw przyszedł s z t r a f za niezameldowanie się w biurze policyjnym. To była drobnostka, z a w i n i o n a zresztą, chociaż od uznania władz policyjnych zależało, karać takie drobne uchybienia przeciwko i c h atrybucjom opiekuńczym, lub nie. A l e, w dodatku, komisarz okręgu policyjnego, w którym zamieszkał, wzywał go do stawienia się osobiście w biurze, o d w o ł u j ą c s i ę n a j a k i ś p a r a g r a f.. W żadnym z miast nie z d a r z y ł a m u s i ę p o d o b n a p r e t e n s j a. Nie wolno oczywiście w konstytucyjnym państwie ciągać spokojnego obywatela po biurach policyjnych, czas mu zabierajac i stawiając go w roli „poddanego", jedynie dla z r o b i e n i a s o b i e p r z y j e m n o ś c i s k o n s t a t o w a n i a, czy rzeczywiście ma nos w środku twarzy, a l e, skoro tylko jest jaki ważny powód, a o ważności tego powodu rozstrzyga faktycznie widzimisię urzędnika, a nawet bez powodu, gdy o g ó l n y p o w ó d m o ż e s i ę z n a l e ź ć w l o k a l n y c h s t o s u n k a c h, w interesie bezpieczeństwa publicznego, formułce, którą można osłonić wszystko, sprowadzić może przez policjanta, a opierać się temu, — n u ż u s a n k c j o n u j ą j a k i ś n a j b ł a h s z y p o w ó d, — to opór przeciwko władzy, karany bez pardonu, miesiącami więzienia..." (str.107—109).

Ile podkreśleń w ustępie przytoczonym, tyle dla ucha polskiego strzał i obrażeń! Jest-że to bełkot gwarowy czy podrzeźnianie niemczyzny? To pewna, że mowa ta sprawia śród nas wrażenie ostu, przeciąganego powoli przez uszy Rani jak kolce, odpycha jak chwast.

P. Maciej Wierzbiński włada językiem poprawnie; niestety jego polot myślowy sięga nie daleko. *Ex nihilo nihil*, powiada przysłowie. Autor, nie posiadając sam inteligencji, nie może obdarzyć nią swych bohaterów. W pewnym miejscu zapoznaje nas z osobistością, rekomendowaną przez się jako umysł szeroki i światły. Wszelako, cóż umie o niej powiedzieć? — Że posiada doktorat uniwersytecki i — że czyta książki! Ah! ponadto jeszcze, że ma w czytaniu pewną metodę odrębną. Ów pan w powieści mówi o sobie: „Nie czytuję książek, lecz obrabowuję pisarzy", Naprόżno jednak pragnęlibyśmy się dowiedzieć, jakie czyta książki, jakich obrabowuje pisarzy, jakie procesy myślowe zachodzą w jego głowie. Autor maluje nam jego czoło pochylone nad książką, zmarszczki nad czołem, słowem daje *pozę* myślenia; do wnętrza, do treści umysłu nie dociera.

O! Ziemio Wielkopolska! Prastara ojcowizno Lecha! Jakimż jest lud twój, jeśli t a c y są twoi prorocy?!...

nifacego VIII, epikurejczycy nieustannie walczyli z Kościołem, szydząc z kar piekielnych i nawet posuwając się do ateizmu. Represje, którymi heretycki ów prąd tłumiono, były okrutne i straszne. Glaber w kronice swej notuje, że odszczepieńcy, na stos skazani, gdy już od płomieni ogarnięci zostali, poczęli z pośród dymu i ognia błagać o litość, wyrzekając się „szatana i wszelkich sztuk jego”, że wyznali swe winy. Ale skrucha przyszła zapóźno, więc kronikarz ma tylko pogardę dla tego żalu *in extremis*. „Kara, jaka szaleńców owych spotkała — pisał — wykazała świetniej, niż cokolwiek innego, wspaniałość świętej wiary katolickiej”.

Palenie odstępców i różnowierców na stosie było dziełem łatwym i na długie wieki miało się przyjąć w kościele, jako argument rozstrzygający w sporach przekonaniowych. Kościół jął posługiwać się nim coraz częściej, bowiem myśl średniowieczna wierzyła, że Kościół zapalając stos pod stopami odszczepieńców, tym samym w popiołach grzebie samego Szatana.

Aliści wiara ta doznać musiała srogiego zawodu. Szatan—kusiciel, nie poprzestając na ofiarach z poza owczarni wybranych, wdzierał się raz po raz do wnętrza świątyni, szturmem brał poświęcane mury, powodując zgorszenie i brud tam, gdzie świecić winny szatą niepokalanie białą cnota i budujący przykład.

Zgoda i przymierze biskupów z papieżem, które w czasach barbarzyńskich były ostoją i oporą potęgi Kościoła, jęły się teraz rwać i rozchwiewać. Episkopat Galji burzy się cały przeciwko Janowi XVIII i wypowiada Rzymowi posłuszeństwo, oskarżając głowę Kościoła o kupczenie sakramentami. Oskarżenie było, niestety, słuszne: papież, przekupiony złotem, udzielił rozgrzeszenia rozbójnikowi i łupieżcy, pozwolił mu wznieść bazylikę, aby za cenę kamieni i wapna morderca mógł się pojednać z Bogiem.

Ale i biskupi ze swej strony uprawiali *symonję* niemniej haniebną. Kronikarz wskazuje wpływ książąt i monarchów na obiór dostojników kościelnych, będący wpływem przekupstwa, gwałtu albo wyzysku; odsłania zarazę trawiącą wszystkie stopnie hierarchji, będące gniazdem pychy i chciwości, nie tai wreszcie obszarów zepsucia, srożącego się śród ludu, który poddając się idącym z góry prądom zwyrodnienia, za pasterzami swymi, brodził w ciemnocie, w brudzie, w zbrodniach. Co się tyczy mnichów, to jeśli pozwalają oni sobie na rozprzężenie reguł zakonnych, czyż wina rozprzężenia nie spada na przełożonych, którzy pierwsi dawali przykład łamania owych reguł? Handlarze świętości nie zostawali w przedsionkach kościoła, ale wdzierali się do serca świątyni i ołtarz „Boga żywego” zmieniali na kram lichwiarski.

Francja, Niemcy i Włochy jęczały pod rządami niegodnego episkopatu. Cesarz Henryk III, podejmując się roli, poniechanej przez papiestwo, zwołał biskupów z całego imperjum na zjazd, na którym kary srogie uchwalono przeciwko wszystkim, dopuszczającym się symonji. Płonne atoli były wszelkie wysiłki cesarza: symonja w Rzymie samym zapuściła głębokie korzenie. W stolicy chrześcjaństwa, u grobu apostołów, na tronie Wielkiego Grzegorza dziesięciokrotnie w ciągu jednego stulecia pojawia się obleczony w szaty pontyfikalne Szymon czarnoksiężnik, kupujący za pieniądze rządy duchowe nad światem. Bez wątpienia, wiele wspomnień złowieszczych błąkało się ciągle dokoła przerażających ruin Wiecznego Miasta.

Śród ludu nie wygasła jeszcze wówczas pamięć o Neronie, a przepisywacze starych kronik wspominali Kaligulę, Heljogabala, Domicjana. Dzieje pierwszych papieży z Tusculum, kreowanych przez możnowładców latyńskich, w X stuleciu, stały żywo przed oczyma ogółu. Przypominano sobie, zwłaszcza, Jana XII, który zostawszy papieżem w 18 roku życia, harem w zamku pontyfikalnym założył, bogom pogańskim składał ofiary, pił na ich cześć, a djakonowi pewnemu w stajni święceń kapłańskich udzielił; wypędzony przez Ottona I, przez czas pewien ukrywał się w lasach, błądząc niby „zwierz dziki”, wedle wyrażenia ówczesnego dziejopisa. Zaledwie jednak cesarz opuścił granice Włoch, wygnaniec wrócił do Rzymu i wyparł następcę swego Leona VIII; odzyskawszy tjarę, wywarł okrutną zemstę na kardynałach i biskupach, należących do stronnictwa cesarskiego, obcinając niektórym języki, innym ręce i nosy; podanie głosi, że pewnej nocy, gdy szukał przygód burzliwych za miastem, djabeł tak silnym ciosem ugodził go w czoło, że awanturniczy „namiestnik Chrystusa”, nagle ducha wyzionął.

Odtąd, w przeciągu lat trzydziestu, zmieniali się szybko po sobie papieże łacińscy i papieże niemieccy i wciąż przeciwko nim powstający antypapieże, wzajemnie się prześladując i piorunując klątwami, uniesieni jakby wspólnym wirem piekielnego odmętu.

W zaraniu wtórego tysiącolecia ery chrześcjań-

Handlarze żałoby.

Autorka francuska, Rachilde, mieszkająca w Paryżu, napisała subtelny, arcyciekawy dramat, p. n. *Handlarz słońca*. Znamy go w Polsce z przekładu Mirjama. Jest to rzecz całkowicie wysnuta z fantazji, lekkiej jak sen obłoków odbitych w głębi jeziora; fantazji, zdawałoby się, nieprześcignionej, wybujałej po nad wszelkie szczyty realności.

A jednak pomysł żebraka, który, na jednym z mostów Sekwany, strawiony gorączką nędzy i oszalały z głodu, sprzedawać chce przechodniom złoto i djamenty zachodzącego słońca, niczym jest wobec pomysłu jednego z wydawców i redaktorów warszawskich, który otworzył sklepik z detaliczną przedażą smutku i żałoby pogrzebowej. Koszta dostawy rocznej, zapowiada, wraz z przesyłką wynoszą tyle a tyle. Za łzy oraz westchnienia pobożne i cmentarne wieńce dopłaca się osobno. Oprócz działu żałoby, pismo owe, reklamowane jako „najtańszy tygodnik dla Rodzin Polskich”, zawiera treść bogatą i różnostronną; a więc: kroniki społeczne i polityczne „pióra Redaktora”, powieści i nowele, wspomnienia z dziejów ojczystych, opisy podróży, „artykuły przyrodnicze i naukowe”; dopełnia wreszcie repertuaru „Humorystyka”. Najważniejszym atoli działem jest idący tuż za humorystyką a wyżej przez nas wspomniany dział p. n.: Rocznice wielkich zmarłych. W nim to redakcja owego najtaniej myślącego dla rodzin polskich pisma daje upust uczuciom rozrzewnienia, przyprzypadającego w udziale inicjatorom obchodu wszelkich jubileuszów, rocznic, pamiątek, zaduszek, uroczystości pozgonnych i żałobnych wspomnień. Iluż to mieliśmy królów, ilu hetmanów, ilu wieszczów nieśmiertelnych, którzy, chwała Bogu, wszyscy poumierali, dając w ten sposób chlubną okazję potomkom zadokumentowania ze swej strony czci i hołdu dla ich imienia, w dziesięć, w pięćdziesiąt, w sto lat po ich zgonie lub urodzeniu, gdy właściwy nadejdzie jubileusz, gdy uroczysta wybije rocznica. A ponadto wszak mamy jeszcze Kopernika, mamy Skargę, którzy czekają na swą kolej, na swą rocznicę. Niema obawy, aby zbrakło powodu do uroczystości. Co tydzień nawinie się ktoś nowy. Przytym galerja „wielkich zmarłych” powiększa się stopniowo. Niedawno przybyła Marja Konopnicka. Przedtym umarł w Krakowie Stanisław Wyspiański. Ich życie, ich dzieła, wzięto poza nawias, ale data urodzin i data śmierci, błyszczą jak marmurowe, graniczne kolumny w świątyni naszej historji literackiej.

Dotychczas jubileusze, rocznice, transportacje „prochów śmiertelnych” odbywały się, aczkolwiek często, jednak niesystematycznie; ekstaza żalu lub

skiej, po zgonie Sylwestra II i po wygaśnieciu linji wielkich Ottonów z dynastji Saksońskiej, dziedzicc ziemi Latyńskiej na nowo narzucili zwierzchnictwo swe Rzymowi, czyniąc z powrotem kościół powszechny swym rodzinnym lennem. Po Benedykcie VIII, papieżu energicznym i dążnością refermatorską ożywionym, z ramienia owych możnowładców został głową kościoła brat zmarłego papieża, znany pod imieniem Jana XIX.

Już w pierwszych dniach sprawowania rządow apostolskich, Jan, przekupiony darami cesarza greckiego, dał się unieść jednemu z najosobliwszych szaleństw, w jakie papieże rzymscy popadać mogli, mianowicie uznał on patrjarchę konstantynopolitańskiego za Papieża Wschodu. W porę oświecili „głowę" Kościoła prałaci włoscy, zapobiegając zgorszeniu. W roku 1033, gdy nieurodzaj powszechny przyczynił się do wzburzenia ludności, wybuchnął wreszcie bunt przeciwko rządom papieskim: baroni i hrabiowie latyńscy osadzili na stolicy apostolskiej Benedykta IX, dwunastoletnie chłopię, o którym jeden z następców jego, poważny i surowy Wiktor III, pisał, że ów, pełnoletności doszedłszy, jedynie mordy i grabieże popełniał. Już w 16 roku życia pacholęcy ów władca kościoła taką zgrozą napełnił ludność, że kilku rycerzy rzymskich poprzysięgło mu śmierć, w chwili, gdy hostję wzniesie w swych ręku nieczystych. Atoli nagłe zaćmienie słońca, o którym wspomina Glaber, ocaliło papieża, sprzysiężeni rycerze, zdjęci paniką, nie ważyli się przystąpić do osoby arcykapłana. Ten, pod osłoną zbawczej dla siebie paniki, zbiegł tymczasem do Kremony. Cesarz Henryk III z powrotem utorował mu drogę do Rzymu orężem w roku 1038. W ciągu 6 lat następnych, papież, osiadłszy w Lateranie, otoczył się przepychem i rozpustą, jak sułtan azjatycki; a w pewnym okresie blizki był zrzeczenia się stolicy apostolskiej, aby poślubić córkę jednego z baronów.

Wówczas to nastały czasy, o których cała Europa chrześćjańska miała przeświadczenie, że są ową straszną erą, której przyjście zapowiadał jasnowidzący, złowieszczy prorok z wyspy Patmos; przed jej rozszerzonymi od zgrozy oczyma oblekały się w ciało potworne wizje Apokalipsy: tjarę namiestnika Chrystusowego przywdział na skronie Antychryst, zasiadający stolicę Piotrową!

Ludziom wydało się, że świat cały zapada w odmęt potępienia, pod zwycięskimi ciosami zła, śród tryumfalnego chichotu szatanów, od którego ziemia i nieto rozleci się w gruz. Umysły niezdolne do rozpoznania istoty i warunków życia, opętane halucynacją grzechu, nie umiały oprzeć się udrękom samobiczującej się wyobraźni i już zaczynały wątpić o świętej potędze chrześćjaństwa i wszechmocy Boga; roiły one, że chrześćjaństwo oszukuje człowieka, że Bóg chyli się w niemoc, i nie jest już panem jedynym świata i dusz. Tego rodzaju umysłowy kryzys zrodzić musiał religję rozpaczy; w istocie religja taka wybuchła i szerzyła się w ciągu dwóch stuleci w krajach południowych i zachodnich. Herezji uśmierzyć nie mogły ani klątwy, ani więzienia ani płonące stosy. W ciągu czterech lub pięciu pokoleń, najpiękniejsze dzielnice Francji stały się pastwą fanatycznego kataryzmu, którego wyznawcy i apostołowie usiłowali przebłagać okrutnego Boga, będącego przeciwieństwem i współzawodnikiem Jezusa, rozbroić jego gromy nieludzką pokutą, ascezą barbarzyńską, kultem surowym i dzikim, w którym nie było miejsca na tkliwość, na przebaczenie, na szczęśliwość raju. I gdy ascetyzm albigensów omracał i pustoszył południowe rozkoszne prowincje Francji i kwitnące doliny Włoch, jednocześnie mnożyli się i szerzyli po całym obszarze chrześćjaństwa utajeni wyznawcy i ofiarnicy Szatana.

Najwięksi papieże, Grzegórz XII oraz Innocenty III, a nawet jeszcze Innocenty VIII, na schyłku XIV wieku, nie przestają wydawać bull i anatem, skierowanych przeciw sekciarzom, hołdującym kultowi Szatana; biskupi prześladują czarowników, nekromantów alchemików; inkwizycja namiętnie wyszukuje ukrytych czcicieli piekła.

Wreszcie w Rzymie samym budzić się zaczęły prastare wspomnienia pogaństwa; posągi bogów umarłych zdały się zwolna wracać do życia i kamiennymi ustami głosić chwałę życia, słońca, rozkwitu i radosnego szału; djabeł poczyna kazania prawić swym owieczkom ustami Apollina lub Merkurego. W pełni *Odrodzenia*, w okresie Machiavela, Pica della Mirandolla i Erazma, po pięciuset latach, żyły jeszcze w Europie, nie wyłączając Włoch, ślady owej zgubnej, niszczącej klęski, jaką było zwyrodnienie mistyczne średniowiecza, owe piekące ślady bolesnej psychologji chrześcijańskiej, która miast słońca, nad światem kaganiec cmentarny zawiesiła na przeciąg kilku stuleci.

St. Romanowski.

---

uniesienia wybuchała nagle, niespodzianie ogarniając serca i umysły, była uroczystością, była świętem, odpustem narodowym, wyjątkiem, nadzwyczajnością. Odtąd, to, co było nadzwyczajne, stanie się rzeczą powszednią; odtąd „rocznice wielkich zmarłych" pozyskają stałą rubrykę tygodniową w „najtańszym piśmie dla rodzin polskich". Ujęte w odstępy regularne, nabiorą charakteru bardziej obywatelskiego, spokojnego, przesiąkną równowagą i, nie tracąc wcale majestatu, pozbędą się tej niemiłej żywiołowości, jaką razić musi wszędzie entuzjazm tłumu. Co tydzień porcja łez na grobach „naszych wielkich zmarłych", co tydzień jedno ciche, niewielkie westchnienie, jedno i niewielkie, ale co tydzień, czyż nie to jest ideałem higjeny narodowej i społecznej? Czyż nie tak wygląda mądra synteza patryjotyzmu i zdrowia?

O! handlarze żałoby!

Polak gardzi handlem; wzdryga się przed mierzeniem pieprzu, soli, wosku albo mąki; gdy konieczność włoży mu do ręki wagę kupiecką lub łokieć, to handlować będzie raczej imionami swych „wielkich zmarłych", niż zbożem; na targowisko wyniesie snadniej łachmany z płaszcza swych królów, niż pracę rąk własnych; odliczać będzie chętniej łzy i szlochania do miary, niż owoce lub kłosy.

Jakże nienawidził tego kupczenia przeszłością, tego licytowania się wobec trumien, tych płaczów jubileuszowych, tego obchodu rocznic i uroczystości pamiątkowych, ostatni z wielkich poetów naszych—Wyspiański. „Niech nikt nad grobem mi nie płacze, krom jednej mojej żony", — wołał: „za nic mi wasze łzy sobacze!"

Jest w „Kazimierzu Wielkim" ustęp, gromowym gniewem dyszący przeciwko owym „korowodom trupów", usiłującym Polską żywą zmienić w cmentarzysko dziejowe:

Widywałem tych trupów korowody,
ten ponad nimi żal płaczących lutni,
bo prochom uroczyste sprawiano wywody,
i na ten krótki czas niechano kłótni
nad każdą z trumien, którą w imię zgody
wiedli na Wawel — ci złotem rozrzutni.

. . . .

Naród mój tak się we swą przeszłość weśnił,
schodził we wszystkie grobowe piwnice,
z trupami się umarłymi rówieśnił,
badał im w trzewach zgonu tajemnicę;
że sam w tych ciągłych łzach i płaczach pleśnił...

. . . .

KRYTYKA.

Pod znakiem poetów.[1]

Bronisława Ostrowska: **Chusty ofiarne.**

Cechą talentu p. Ostrowskiej jest pewna lękliwość, i to rozpieszczona lękliwość, zakreślająca oczom pewien krąg, poza który wzrok nie sięga. Przytym doznaje się wrażenia, że owa cecha zasadnicza jest jednocześnie przeszkodą. Dzieje duchowe poetki są takie: zamknęła ona siebie w klasztorze czy więzieniu, który możnaby zburzyć silną ręką, bo autorka czuje się w nim źle, możnaby otworzyć przed sobą przestrzeń rozległą, lecz czy to kiedykolwiek nastąpi? Tyle jest powodów, aby nie burzyć swego więzienia. Wywalenie ścian kosztuje zbyt wiele. Stanąwszy w obliczu przestrzeni, trzebaby było inaczej żyć, inaczej oddychać. Przytym zżyło się już trochę z tym światkiem, który się za świat uważa, ozdobiło go się na swój sposób. Słowem w duszy poetki zachodzi cichy dramat wielu dusz kobiecych. Dla takich dusz świat z jego rozległością, walką, krwią, mrozem jest nie do przyjęcia: zbyt brutalny, zbyt duży. I oto dusza kobieca zamyka się w rodzaju klasztoru, w odosobnieniu, gdzie cały świat kurczy się, maleje, cichnie i blednie: światek półtonów i półrozpaczy. Z drugiej jednak strony ten światek, to dobrowolne poniekąd wygnanie z upodobania nigdy nie może zadowolić w zupełności. I odtąd poczyna się poetyczne wegetowanie na przełęczy pomiędzy światem odrzuconym z którego progu kobieta się cofa, a światkiem wybranym, w którym na stałe wyżyć trudno. Smutek, rezygnacja, potrzeba ofiary są to wszystko uczucia szczere, lecz wszystkim brakuje tu uzasadnienia konieczności, wszystkie *wydają się* możliwe do przezwyciężenia, gdyby nie ta lękliwość rozpieszczona, która z poetki czyni męczennicę gotową do ofiarowania się. Rozsnuwa się ta bierność kontemplacyjna w strofach bladobarwnych, muzycznych:

Twoje życie, twoje życie?
Fale w zdroju, chabry w życie,
Klucz żórawi, co w mgle jęczy,
W biczach deszczu — okrąg tęczy,
Obłok lotny na błękicie —
Twoje życie...

Czasem przychodzi rodzaj buntu, lecz kończy się na westchnieniu. Na widok płonącego krzaka poetka śpiewa:

O, dać się złudom szaleństwa osnować
(Oto twej duszy gorejący krzew!)
O ziem paść głową: wyratuj! poprowadź!
I jego kolce kwitnące całować
I czuć na ustach stygmat — żywą krew!

P. Ostrowska ma dużo dobrego, wytwornego smaku. Swój charakter bladoliljowy, smętny, ofiarny podaje poetka w linjach i barwach zestrojonych bez zarzutu. Lecz to, że jest taką, a nie inną, nie wypływa ze starcia się z sobą, lecz z gotowości poddania się każdemu przeżyciu, łagodnemu i pieszczotliwemu. Słodka bezoporność jako zasada podstawowa życia oto kanon estetyczny autorki „Chust Ofiarnych".

* * *

Bronisława Ostrowska: **Przekłady liryki francuskiej.**

Ze świata, w którym się zamknęła poetka „Chust Ofiarnych" wypędza ją tęsknota w świat szerszy, bardziej urozmaicony. Lecz to częściowe wyzwolenie następuje nie w utworach oryginalnych p. Ostr., lecz w jej przekładach. Przez mężczyzn poetów zstępuje poetka dalej w głąb tych samych uczuć pokrewnych. Ponieważ chodzi tu poniekąd o rozpętanie siebie, więc p. Ostr. tłumaczy z uniesieniem oryginalnej twórczości, tłumaczy przepięknie, z przedziwnym smakiem i olśniewającą kulturą artystyczną. Bierność, której była przeszkodą we własnej twórczości, ta staje się zaletą, gdyż poetka daje się z natchnionym uniesieniem prowodzić za rękę blizko czterdziestu poetom francuskim, gotowa oddać każde tchnienie ich ust i dreszcz serca z tą gotowością do ofiary, która w poetce oryginalnej prowadzi do zatarcia wielu rysów, występujących dopiero wtedy, gdy się rozpocznie łamanie w sobie i z sobą. Tłumaczka zdobywa się na język świetny, śmiały, świeży, dźwięczny, śpiewający. W przekładach niema ani jednego zdania martwego,

[1] Wydawnictwo Jakóba Mortkowicza.

Rozpoznawałem, że kochał się w trunach,
kołysząc w nich swą myśl, jakby w szalupach;
ze czytać znał, jak w powikłanych runach,
w bereł kruszynach i koron skorupach;
jak na spuścizny cieszył się fortunach,
rozmiłowany w tych przegniłych trupach;
mniemając, że go to do życia wiodło,
że brał te trupie piszczele za godło...
. . . .

I pomyśleć, że w tym właśnie tygodniu, korzystając z przypadającej rocznicy zgonu Wyspiańskiego, owo najtańsze dla rodzin polskich pismo tanią łzą do najtańszego pobudzać mogło żalu, tych, którym poeta z za grobu całym obszarem ducha rzuca protest swój: „Za nic mi wasze łzy sobacze!"

We własnej siedzibie.

Przed tygodniem, w d. 25 ub. m. odbyła się uroczysta inauguracja gmachu przy ul. Kaliksta Nr. 8, przeznaczonego na siedzibę Warszawskiego Towarzystwa Naukowego. Gmach ów, jak już donosiliśmy, jest darem hr. Józefa Potockiego. Jego wspaniała hojność rozświeciła na chwilę mroki ponurego środowiska, mroki obojętności i zniechęcenia, w jakich pracować musi polska myśl badawcza.

Z krótkich, lecz jędrnych słów, którymi możny protektor i ofiarodawca zagaił pierwsze posiedzenie Towarzystwa, widać, iż pojmuje on doniosłość swego czynu, iż odczuł wyższość laurów, jakie daje zasługa społeczna, nad trofeami myśliwstwa, któremu dotychczas się poświęcał.

— Od czterech lat — mówił on — Towarzystwo pracuje i plony tej pracy są już widoczne. Wierzę, iż nigdy w tym gmachu nie odezwie się przesąd, obniżający jedną naukę na korzyść wyniesienia drugiej, że prawda będzie tu miała swój przybytek, jak miała go kiedyś w Towarzystwie przyjaciół nauk, którego puściznę duchową podejmujemy, którego pracę przerwaną nawiązujemy na nowo. Rozpalamy tę swoją pochodnię, aby ją oddać gorejącą i jasną w ręce następnych pokoleń.

W słowach tych rozbrzmiał ton dawnej, szczytnej tradycji Czartoryskich, Załuskich, Ossolińskich, Czackich, wielkich fundatorów kultury i oświaty polskiej, u których czoła „nakształt perły kalakuckiej, świeci gwiazda myśli ludzkiej" blaskiem nad blask tamtej stokroć piękniejszym.

To też od pełnego godności i powagi obywatel-

co się zdarza nawet doskonałym tłumaczom, lecz obdarzonym indywidualnością upartą, która, ustępując niechętnie przed indywidualnością autora przekładanego, pozostawia ślad swej zaciętości w postaci zdania nieżywego.

Poeci francuscy, ludzie o wysokiej kulturze, lecz najczęściej nieco sztuczni, warunkowi, oględni odpowiadają jaknajlepiej charakterowi p. Ostr. Tam, gdzie gorączka niemal nigdy nie dochodzi do wysokich temperatur, gdzie znają się na wartości słowa, gdzie panuje miła rozmaitość tematów, autorka, „Chust Ofiarnych" poszła szukać swego uzupełnienia i w ten sposób utworzyła bardzo piękną antologję. Są w niej utwory: Alfreda de Vigny, Leconte de Lisle'a Charles Beaudelaire'a, Sully Prudhomme'a, Jose Marji Heredji, Paula Verlaine'a, Artura Rimbaud'a, Stephana Mallarmégo, Jean'a Moreasa, Maurice Maeterlincka i wielu, wielu innych.

L. Ch.

Dawna muzyka.

Pod tytułem *Musique ancienne* (Paryż, nakł. *Mercure de France*) wydała znakomita nasza rodaczka, Wanda Landowska, blizko trzysta stronic obejmujący tom w obronie starych mistrzów muzycznych. Książka jest napisana z francuską jasnością i przekonywa niezbicie w piętnastu rozdziałach, że muzyka nie rozpoczyna się od Wagnera, Ryszarda Straussa, Debussy'ego, ale że równie skończony wyraz znajdowała w kompozycjach dawnych, uważanych dzisiaj przez powierzchownych znawców za... naiwne. Tyle się mówi o *postępie* w muzyce, że niemal zapominamy o samej muzyce. Każde nowe dzieło uważamy za stopień, wiodący do dzieła jeszcze nowszego, jeszcze doskonalszego. „Nawet skończone arcydzieło — powiada Ryszard Strauss — powinno być traktowane jako posiew złożony w duszę przyszłości, aby ta w dalszym ciągu wydawała rzeczy jeszcze większe, jeszcze doskonalsze".

„Przez co zaś — dodaje złośliwie nasza wytrawna znawczyni i wielbicielka dawnej pięknej muzyki — przez co utwory nowoczesne są większe, doskonalsze i wyższe od utworów Bacha, Palestriny i Beethovena, p. Strauss strzeże się nam wyjawić".

A dalej, na str. 20 „nieporównana Wanda", jak p. Landowską nazywają cudzoziemcy, robi głębokie spostrzeżenie, które nietylko do losu twórczości muzycznej można i należy stosować.

„Autochtoni wysp Fidżi zabijają swych rodziców, gdy ci się zestarzeją. Taka sama jest moralność, rządzącą muzyką. Znajdujemy, że utwory dawne dlatego utonęły w zapomnieniu, ponieważ nie posiadały wielkich, niezbędnych zalet do oparcia się zjadliwemu zębowi czasu. Utrzymujemy, że sprawdzianem piękna, jak sprawdzianem prawdy, jest czas. Jakgdyby czas nie był właśnie nami, ale rodzajem nieomylnego sędzi, zesłanego z nieba. Gdy Bach utonął po śmierci w powszechnym zapomnieniu, wówczas również znajdowano, że jego dzieła nie miały dość silnej żywotności, aby wytrzymać próbę czasu i uratować się od zagłady, grożącej każdej mierności. Ale to właśnie my sami porzucamy największe arcydzieła, jak suknie zużyte i wyszłe z mody; czas jest jedynie naszym pomocnikiem w zardzewianiu dzieł sztuki, a jego ryzykowny wybór bynajmniej nie wskazuje na rozsądnego sędzię. Od czasu do czasu, dzięki jubileuszowi, odkopujemy dzieło, z którym straciliśmy wszelkiego rodzaju styczność od stuleci; i gdy wyproszone, powykręcane, pokiereszowane czaruje nas jeszcze pięknem, — jesteśmy zdumieni. Jakto? piękna muzyka w owej epoce? przed trzystu laty! i nawet w Anglji!? Nie, to nie do wiary! Lecz tak, ona tam była. Nie potrafię powiedzieć, czy jest wyższa lub niższa od dzisiejszej, ale to pewna, że napełniała uczuciem serca nie mniej warte od naszych".

Z powyższego przytoczenia widać, że Wanda Landowska jest mistrzynią nie tylko przy clavecinie; że czarowi dźwięków, wychodzących z pod jej wirtuozowskich palców — niestety, tak rzadko zachwycających Warszawę — dorównywa siła argumentacji w obronie nieśmiertelnego piękna muzyki.

Na stronie 25-ej Wanda Landowska popiera swoje zdanie zdaniem takiego rewolucjonisty literackiego, jakim był Wiktor Hugo. „Sztuka — powiada autor „Nędzników" — nie podlega żadnemu doskonaleniu się w przyszłości, żadnym zmianom języka, żadnej śmierci i żadnemu odrodzeniu narzecza. Sztuka jednakowo jest całkowita, boska, w epoce barbarzyństwa i w epoce najwykwintniejszej cywilizacji. Oto *mało znane* prawo Sztuki".

W rozdziale VIII autorka roztrząsa, nie bez

---

skiej przemówienia Józefa Potockiego, przykro odbijać muszą, swą ekonomską czołobitnością głosy samych członków Towarzystwa, zwłaszcza zaś niektóre toasty, przez tychże podczas uczty inauguracyjnej wzniesione na cześć „Protektora".

— Byłbym jednostronnym — tymi słowy np. kończył uroczysty toast swój p. W. Janowski zwracając się w stronę Potockiego, — byłbym jednostronnym, gdybym wypowiedział zdanie, iż przyszłą sprężyną duchową Towarzystwa powinno być tylko troskliwe zabieganie naprzód w celu założenia i wszechstronnego rozwinięcia tego, czego w Towarzystwie dotychczas niema. Pewny jestem, iż obok tej troski, zadaniem wszystkich członków Towarzystwa będzie *szczególne pielęgnowanie w sobie i w ich następcach najgłębszych i najtrwalszych uczuć wdzięczności* dla tych, którzy... ...a przedewszystkim dla naszego dostojnego protektora, który *jednym potężnym ruchem swojej ręki*, podyktowanym przez i t. d. i t. d...

Wobec tak przesadnie afektowanej, od pochlebstwa zachłystującej się chwalby, trudno poprostu oprzeć się refleksji, że ów „potężny ruch ręki", którą mówca, zda się, pragnąłby ucałować na klęczkach, całkowicie zamyka się w odległości między sercem a portfelem, z którego miljonowej zawartości uronił hrabia zaledwie nadmiar kilku kropel złota. Ofiara Potockiego jest znaczna i mieć będzie znaczenie przełomowe w dziejach W. T. N., atoli wielkość ta jest funkcją, która uwydatnia się tylko w stosunku do niewiarogodnego ubóstwa naszej nauki, nigdy zaś — w stosunku do możności i zasobów materjalnych naszej arystokracji.

Oszołomiony panegiryzm staje się tu jednocześnie ujmą dla stron obu: obdarowanego skazuje na utratę godności osobistej, w ofiarodawcy zaś każe przypuszczać nie czyn, dojrzały na gruncie sumienia obywatelskiego, ale kaprys, uszczknięty z kwietnika łaski pańskiej.

Nie tymi słowy wielki Stagiryta przemawiał do wielkiego Aleksandra. Nie tak lichym kruszcem słowa płacił Joachim Lelewel piastującemu urząd kuratora Adamowi ks. Czartoryskiemu za jego nieśmiertelne trudy koło podniesienia Wszechnicy Wileńskiej! A przecież, jeśli p. Janowski nie jest Lelewelem, to, w każdym razie książę Adam wart jest hrabi Józefa!

złośliwości, sprawę potęgi brzmienia („La force de la sonorité") i udawadnia, że nie Strauss i Mahler powiedzieli pod tym względem ostatnie słowo, ale... król Salomon, urządzający na długo przed narodzeniem Chrystusa legendarne koncerty, powierzone dziesięciu tysiącom (10,000) wykonawców; i Patiomkin, faworyt Katarzyny, który w pełni XVIII stulecia, cierpiąc na neurastenję, rozkazywał bić we wszystkie dzwony cerkiewne i wykonywać dzieła, skomplikowane według jego smaku przez muzyków włoskich. Te symfonie odznaczyły się między innymi tym, że rolę akompaniamentu spełniały armaty.

Wanda Landowska opisuje również *concert — monstre* dany w 1615 r. w Dreznie na rozkaz elektora Saskiego — koncert istotnie potworny. A więc „potęga" nie jest wynalazkiem nowoczesnym i znakiem postępu w muzyce.

Takich zakorzenionych przesądów, Wanda Landowska przenikliwą myślą krytyczną i często dowcipnym słowem, karczuje mnóstwo. Niepodobna omówić w zwięzłym artykule wszystkich poruszonych, przez światowej sławy wirtuozkę, spraw muzycznych. Wanda Landowska z zachwycającą prostotą wchodzi w najsubtelniejsze zagadnienia, dotyczące np. wykonania utworów muzycznych przez orkiestrę i jednostkę i wykłada tak jasno swoje postulaty artystyczne, że jej „*Musique ancienne*" czyta się niby ciekawą powieść, choć jest to dzieło rzetelnego erudyty, dzieło — w najlepszym tego słowa znaczeniu — teoretyczne i najwykwintniej polemiczne.

Współpracował z Wandą Landowską nad wydaniem „*Musique ancienne*" znany paryski publicysta, członek *Figara*, mąż pani Landowskiej, Henryk Lew-Landowski.

Wacław Grubiński.

NA DOBIE.

Byzancjum nad Newą.

W zeszłym tygodniu toczyły się w Radzie Państwa debaty, na które nasza opinja niedość baczną zwróciła uwagę.

Na porządku dziennym stanęła tam kwestja ogromnej wagi, dawno rozstrzygnięta w całym kulturalnym świecie — kwestja wolności sumienia.

Tolerancja religijna jest fundamentem wszystkich swobód nowoczesnych, które bez niej nie dadzą się nawet pomyśleć. Wolność sumienia, zdobyta z krwawym mozołem, dźwignęła ludy europejskie na poziom doskonalszego bytu, skąd nieskończona roztacza się przed nimi perspektywa rozwoju.

Właściwa, logiczna wolność sumienia oznacza nietylko swobodny wybór kultów, ale i dowolne ich praktykowanie, do bezreligijności włącznie, która jest wszak wyznaniem ludzi, nie mających skłonności mistycznych. Właściwa więc tolerancja możliwa jest tylko wtedy, kiedy Państwo jest religijnie obojętne (neutralne) co znów prawnie daje się ująć w system jedynie dzisiaj wskazany—rozdziału Kościoła i Państwa.

O właściwej więc tolerancji nie może być mowy w Państwie rosyjskim, nawskroś jeszcze przesiąkniętym duchem wyznaniowym, co, mimo różnych pozorów nowoczesnych, stawia go w rzędzie wielkich państw średniowiecza. Ukaz kwietniowy usiłował wprawdzie zmienić ten stan rzeczy ku lepszemu, ale i on rozciąga przymus religijny nad ludźmi niewierzącymi, nie mówiąc już o rygorach względem jednej z najstarszych, a więc z mistycznego punktu widzenia najbardziej czcigodnych religji.

Ale i ta kaleka tolerancja kurczy się z każdym rokiem i usycha, traktowana iście po macoszemu przez tych, co ją pielęgnować winni. Nie trzeba wszak zapominać, że Byzancjum, z Bosforu nad Newę przeniesione, dyktuje nieraz warunki petersburskim najbardziej miarodajnym sferom.

Owo Byzancjum nie zdradza wcale chęci pozbycia się swych w Rosji przywilejów, których obrona i utrzymanie należy do pierwszych obowiązków Państwa, o czym przypomniał rządowi archijerej warszawski Mikołaj, mówiąc tonem cierpkim do obecnych w Radzie Państwa ministrów: „Historyczne zadanie Rosji i rządu rosyjskiego zarówno cywilnego jak duchownego polega na tym, aby zrusyfikować wszystko, co nierosyjskie i sprawosławić wszystko co nieprawosławne".

Pogląd archijereja nie jest bynajmniej nowiną: rządził on *mutatis mutantis* w całej Europie za czasów na szczęście minionych bezpowrotnie, kiedy żarliwość religijna i bezwzględne dla Rzymu posłuszeństwo zbroiło arcychrześciańskich królów i cesarzy na krwawe walki z niewiernymi, powodując straszliwe rzezie i spustoszenia, którym kres wreszcie kładzie w r. 1648 pokój Westfalski.

Od tego właśnie roku datuje się w dziejach cywilizacji nowa era.

Ale w Rosji dotąd ona nie nastąpiła i nastąpi nieprędko, o ile Byzancjum zachowa nadal swą nad ramieniem świeckim przewagę i w myśl poglądów archijereja Mikołaja każe mu troskać się o „zbawienie wieczne" dla niewiernych, zbawienie, które, „tylko w Cerkwi prawosławnej uzyskać można" i dla którego użyć wolno i rygorów policyjnych.

Sprawiedliwość każe przyznać, że Rada Państwa, złożona z ludzi świeckich i sceptycyzmem nawskroś przeżartych, wzdragała się przyjąć z rąk archijereja pobożne to posłannictwo, ale skądinąd niebrak poszlak, że tkwić ono będzie nadal w organizmie rządowym i sprawy religijne jątrzyć w dalszym ciągu.

A kwietniowy ukaz tolerancyjny? Przewidywaliśmy niedawno, że *Nowoje Wremia* zaliczy go rychło w poczet proklamacji i druków nielegalnych i oto sprawdziła się ta przepowiednia: organ pp. Suworina i Guczkowa zwie go już urągliwie „typowym okazem pośpiesznego prawodawstwa z epoki newrozy liberalizmu".

Nowoje Wremia ma słuszność. Tolerancja religijna w Rosji nie może istnieć bez wolności sumienia, bez ogólnych swobód politycznych. I dlatego należy kwestję religijną w Rosji umieścić na czele wszystkich innych kwestji, bowiem pociąga ona za sobą rewizję całej struktury państwowo-prawnej pełnej jeszcze bizantyjskich, średniowiecznych motywów.

Wobec skupu.

W ubiegłym tygodniu ministerjum skarbu wniosło do Dumy projekt upaństwowienia kolei W.-W. z początkiem przyszłego roku.

Tu i owdzie słyszeć się dają rekryminacje zbyteczne lub niesprawiedliwe, przeciw zarządowi, że wykupu nie przewidział i że się mu różnymi środkami nie sprzeciwił. Istotną winą zarządu był chyba bezzasadny upór, z jakim przeczono kursującym w Brukseli i w Berlinie pogłoskom o projekcie rządowym... i to do ostatniej chwili. Zresztą *Gazeta Warszawska*, zawsze wierna sobie, całą winę zwaliła na... socjalistów i Niemców, na pierwszych za to, że długotrwałym strejkiem w r. 1905 obniżyli cenę wykupu, normowaną według zysków siedmiolecia, a na drugich za to, że mając większość akcji u siebie, nieprzyjazną wobec rządu rosyjskiego postawą skłonili go do tym szybszego załatwienia tej sprawy...

Ale co poczniе zarząd, działający—należy to zauważyć — w imieniu nietylko akcjonarjuszów lecz i pracowników? Od jego uchwał bardzo wiele zależy. Część opinji domaga się słusznie, aby olbrzymich kapitałów kolei wiedeńskiej użyć niezwłocznie do zaku-

pu wszystkich istniejących koncesji na nowe koleje w naszym kraju i przystąpić do ich budowy. W ten sposób klęska powetuje się ekonomicznie, a i tysiące wykwalifikowanych pracowników znajdą dla siebie zajęcie. Gdyby jeno zarząd zechciał energicznie wpłynąć w tym sensie na ogół akcjonarjuszów zagranicznych, którzy głos mając decydujący, modulować go będą stosownie do możliwości nowej rentownej lokaty zwróconych przez rząd kapitałów.

Jest to sprawa wielkiej wagi, do której nieraz wrócimy. Społeczeństwo nasze przeżywa teraz dni wyjątkowo ciężkie, nawet rozpaczliwe, i ze wszech sił dbać powinniśmy o to, żeby zamiast biernego tylko „wytrwania", co się sprowadza do smutnej wegetacji chwastów na kamienistej drodze — pod coraz to nowymi ciosami umiało się ono zwierać w energję twórczą i męski upór samopocy.

Irlandja i Polska w Ameryce.

Wzajemne stosunki Polaków i „Ajryszów" (Irish) w Stanach Zjednoczonych ułożyły się w sposób wielce osobliwy, a dla stron obu niezaszczytny, na tle wyznaniowym oczywiście, boć wiadomo, że Polska i Eryn są najtęższym filarem Kościoła, tylko że Eryn tworzy filaru tego kapitel, a Polska — podnóżek.

Wewnętrzne tego stosunku motywy odsłania *Straż*, organ spójni polsko-narodowej w Ameryce, nanawiązując swoje rewelacje do mianowania w tych dniach przez papieża dwóch nowych irlandzkich kardynałów. Łącznie z dawnymi trzema posiada 11 miljonów Ajryszów 5 kapeluszy czerwonych w *collegjum*, a jak wieść niesie, jeden z amerykańsko-ajryskich kardynałów ma szanse poważne zdobycia tjary po śmierci Piusa X. Natomiast Polacy, dwa razy liczniejsi, tak bez pamięci Rzymowi oddani i tak niezmiernie mu zasłużeni — zamiast należnych sobie 10 kardynałów nie mają *ani jednego*.

Nie do nas należy, rzecz prosta, wszczynać z tego powodu *larum*, ale bezsprzecznie warto zastanowić się chwilę nad zjawiskiem tak osobliwym.

Wiadomo zresztą, że zapanowali ajryscy biskupi w Ameryce przez zabór własności kościelnej wszystkich katolickich partji, skutkiem czego księża polscy, litewscy, słowaccy, ruscy, słoweńscy są bezwolnymi ajentami ajryskich przedsiębiorców rzymskiego *biznesu*. „Na barkach polskiego ludu w Ameryce— woła z goryczą *Straż*—rosną ajrysze w znaczenie i potęgę w kraju i za granicą, a przez popieranie ajryskich banków, ajryskich składów, ajryskich instytucji wychowawczych i dobroczynnych, ajryskiej partji demokratycznej, powiększają polacy dobrobyt ajryskiego narodu w wysokim stopniu i przygotowują mu ostateczne w Ameryce zwycięstwo. W Europie wmówiono w Polaka, że każdy rzymski katolik to Polak, że rzymski katolicyzm i polskość to jedno i to samo i ta fałszywa zasada tak nam weszła w krew, system naszego działania i myślenia, że i tu w Ameryce dajemy się w imię tej zasady okradać, oszukiwać, wyzyskiwać i spychać na stanowisko helotów i paryasów.

Rzymsko katoliccy biskupi, ajryskiego pochodzenia, uchwalili w Baltimore w r. 1884, że wszyscy, którzy się chcą nazywać rzymskimi katolikami muszą oddać biskupom swój kościelny majątek — poczciwi Polacy zgodzili się na to bez szemrania, bo chcą być katolikami w oczach ajryskich panów.

Prawią im księża, że ten, lub ów bank najpewniejszy, bo na jego czele stoi Patryk, albo Michał taki lub owaki, a Polacy niosą dolary, bo są przeświadczeni, że „katolicki" bank ich nie skrzywdzi.

A któż zliczy te dolary, które Polacy dają rok rocznie do szkatuły ajryskiej jako świętopietrze, katedratykum, opłaty za dyspenzy, procenty od długów, ofiary na seminarja, domy sierot, misje indyańskie i murzyńskie, kto zważy i oceni ten wpływ, który zdobywają ajrysze z dnia na dzień przy pomocy tych polskich pieniędzy, wyciśniętych z polskiego narodu w Ameryce w imię rzymskiego katolicyzmu?

Pozornie wydaje się to rzeczą drobną i naturalną, że my służymy, jako podścielisko i podnóżek dla ajryskiego narodu, bo on katolicki i nasz katolicki i nawet nas to nie dziwi, że ajrysze zostają kardynałami za polskie pieniądze, za polską krwawicę, owszem dumni jesteśmy, że „naszych biskupów" tak honorują w Rzymie, że nasze centy mają takie znaczenie u papieża, tak, pozornie wydaje się to naturalnym, ale w rzeczywistości jest dla nas niesłychanie smutnym świadectwem.

Znaczy to, że polski naród staje się powoli narodem niewolników z własnej woli, pracuje chętnie nad wywyższeniem panów swoich i zadawala się pochwałą, że jest zawsze wierny, jak pies wierny... semper, semper fidelis".

Przykre to, jątrzące słowa, ale jakże słuszne i, niestety, sprawiedliwe! Oprócz tutejszych trzech odsłania się oczom naszym w całej grozie *czwarty zabór* w Ameryce, zabór na trzech miljonach naszych ziomków dokonany przez irlandzkich tym razem zdobywców w imię tego samego godła, co na płaszczach krzyżackich przyniesione, wyrosło nam w Marienburgu w kamienny symbol groźby i zagłady! Niechaj ów nasz miarodajny ogół przeciętnie z „katolików 14-ej próby" złożony zastanowi się chwilę nad tragicznym losem tego polskiego wychodźtwa, które wyrwawszy się tu z piekła niewoli i nędzy, biegło aż na drugą półkulę po to, by stać się podścieliskiem irlandzkiej potęgi. Bo Polak współczesny nietylko swojej ziemi ale duszy swojej przestał być panem...

Z PRASY.

Z prasy polskiej.

* *Jeszcze jeden nieboszczyk.* Po markizie — kardynał. Tym razem ekshumacja nie wyszła zmarłemu na korzyść, choć w dobrej uczyniona wierze i bardzo pobożnymi dłońmi. Cóż, kiedy najgorszym wrogiem klerykalistów jest ich szczerość. Bezwzględnie szczery pontyfikat Piusa X więcej przysporzył Kościołowi kłopotu, niż wszyscy radykalni i masońscy jego nieprzyjaciele.

Nic też dziwnego, że każdy odruch szczerości budzi przerażenie i popłoch wśród wytrawnych dyplomatów kościelnych. Taki wielce niebaczny odruch wykonał właśnie w Krakowie świątobliwy hrabia Jerzy Moszyński, autor broszury *Dwie śmierci — dwa światy*, poświęconej pamięci Stołypina i Puzyny.

B. prezesa ministrów chwali autor za zgniecenie rewolucji i przywrócenie potęgi samowładztwa. Bowiem wie hrabia Moszyński, że

> przez sto lat porozbiorowej naszej historji tylko w samodzierżawiu odzywało się w Rosji zrozumienie tej prawdy, że zgoda Polski z Rosją jest pierwszym krokiem do odrodzenia potęgi Rosji, zarówno pod względem moralnym, jak ekonomicznym i politycznym.

Jeszcze wyżej od Stołypina stawia hrabia Jerzy Puzynę, podając w sążnistej apologji wiele cennych szczegółów, rozwiewających wszelkie złudzenia i wątpliwości co do natury i motywów działania w Polsce tego rzymskiego dygnitarza.

Oto w streszczeniu rewelacje szczerego bjografa:

> Politykiem nie był ks. kardynał Puzyna — pisze p. Moszyński — ale idąc drogą sumienia i wypełniając obowiązki biskupa katolickiego bez względu na popularność,

oddał także sprawie narodowej niespożyte usługi, których nadaremnie wyglądaliśmy od polskich konserwatywnych mężów stanu, nawet tej miary, co ś. p. Andrzej Potocki, lub dzisiejszy namiestnik Galicji, p. Michał Bobrzyński.

Mamy tu na myśli ukrócenie nieszczęsnej propagandy zawiści narodowej, szerzonej z Galicji przeciwko Rosji, ilekroć konieczność dziejowa zmuszała ją do szukania dróg sprawiedliwości względem polskich swoich poddanych...

Czego nie chcieli dokonać konserwatywni galicyjscy mężowie stanu w imię dobra sprawy narodowej, tego dokonał ks. kardynał Puzyna w imię religijnych obowiązków względem świętego Kościoła powszechnego...

To też odmawiał on systematycznie wszelkim prośbom, zdążającym do nadużywania kościoła i obrzędów religijnych, do agitacji i demonstracji narodowych, inscenizowanych przez wszechpolskich agitatorów — mniejsza o to, czy rozchodziło się o złożenie w grobach królewskich Słowackiego, czy o mszę polową dla uczestników obchodu Grunwaldzkiego, w którym nastąpiło zbratanie p. Daszyńskiego z marszałkiem Sejmu, a czerwonych sztandarów z orłami polskimi

Ksiądz kardynał Puzyna był pierwszym z dygnitarzy kościelnych w Galicji, który stanowczo oparł się nadużywaniu Kościoła do agitacyjnych celów.

„Twierdzenia hr. Moszyńskiego — pisze *Goniec warszawski*, cytując te wyimki — nie wymagają ani komentarzy ani odparcia: zbyt są jaskrawe... Są jednak ciekawym materjałem do poznania, co się dzieje w głowach różnych klerykałów typu Puzyny, którzy, niestety, mają jednak głos i to nieraz decydujący, w różnych naszych sprawach narodowych".

Jakoż w świetle powyższych rewelacji rysuje się postać zmarłego kardynała tak, jak myśmy ją widywali: w biały, krzyżacki płaszcz komtura spowita, na mieczu oburącz wsparta, z wyrazem nieubłaganej pychy na zaciętych ustach.

* *Przeciwko wewnętrznej niemocy*. Grudniowy zeszyt *Kultury Polskiej* w artykule wstępnym A. Świętochowskiego zestawia smutny bilans kulturalny kończącego się roku. „Poza korporacjami sportowymi i karcianymi wszystkie inne drzemały, budząc się o tyle tylko, o ile potrzeba było dla przerwania letargu lub usunięcia śmierci. Resursy i kluby wrzały życiem i roiły się tłumem; sale stowarzyszeń kulturalnych ziewały pustką i nudą. Jeszcze raz stwierdziliśmy, że chcemy i umiemy się bawić, a nie chcemy i nie umiemy potęgować sił naronu". A potęgować je można, w obecnych warunkach, jedynie na polu poważnej pracy zbiorowej.

„Żaden naród, a tymbardziej politycznie ubezwłasnowolniony, nie ma innych sposobów rozwijania swej kultury, tylko przez stowarzyszenia i instytucje społeczne. Jeżeli wogóle mamy istnieć, prędzej czy później musimy to zrozumieć, musimy stwarzać i zasilać organy życia zbiorowego. Wierzmy, że obecny bezwład jest wynikiem długiego skrępowania, które zniszczyło lub osłabiło pewne tkanki i nerwy w organizmie narodu, i że on w zmienionych warunkach zniknie.

Ale ta wiara ani nie uwalnia nas od pracy dnia dzisiejszego, ani nie rozgrzesza z niedbalstwa. Zresztą jest ona tylko wiarą, a naród musi starać się o pewność istnienia w przyszłości. Dla jego przekonania mamy obecnie za mało dowodów. Rozmyślamy nad niebezpieczeństwem praw wyjątkowych, wydawanych przeciwko nam przez rządy, a lekceważymy niebezpieczeństwo opóźnienia się w rozwoju kultury, która jest polem walki ostatecznie rozstrzygającej o losach narodów. Z tej strony idzie najgroźniejsza dla nas chmura. Nie zgładzi nas miecz i ucisk, ale zgładzić może niemoc wewnętrzna".

Do walki więc z tą wewnętrzną niemocą nawołuje redaktor *Kultury Polskiej*, i trudno o hasło odpowiedniejsze w tej dobie ogólnego rozprzężenia i wzajemnych, a bezpłodnych rekryminacji. Organizacja zrzeszeń i rozwój narodowo-społecznej samopomocy stać się może jutro jedynym terenem, na którym życie naszego narodu utrzyma się i rozwinie.

* Zawieszona z powodu procesu prasowego *Gazeta Warszawska* przestała wychodzić. Ukazał się nowy dziennik *Głos Warszawski*.

* *De mortuis nil nisi bene* mówi przysłowie, którego jednak stosować niepodobna do nieboszczyków, mających pewne szanse zmartwychwstania. Jeśli więc wytkniemy tu jedno z ostatnich kłamstw *Gazety Warszawskiej*, prowizorycznie pogrzebanej, to w nadziei, że znów powołana do życia zechce się poprawić. Zależy nam na tym cokolwiek, bo zawsze przyjemniej jest mieć nietylko godnych przy sobie przyjaciół, ale i przyzwoitych przed sobą wrogów.

Gazeta Warszawska nie należała do tej kategorji. Nieboszczka często zbaczała z drogi przyzwoitości zawodowej i rysopis jaki w ostatnim N-rze podaliśmy za *Myślą Niepodległą* uzupełnić należy jednym szpetnym rysem. Z niezmierną lubością *Gazeta Warszawska* uprawiała kult *obmowy*.

Na kilka dni przed śmiercią wystąpiła ona z rewelacją, że wina skupu kolei W.W. ciąży na socjalistycznym jej personelu, który bezrobociem w r. 1905 obniżył dochód z eksploatacji, z czego skorzystał rząd, biorąc ubiegłe siedmiolecie jako najdogodniejszą dla siebie normę obrachunków.

W ten sposób nieboszczka za jednym zamachem usiłowała rzucić *odium* na niemiłych sobie socjalistów i podnieść partyjny swój *prestige* w kołach kolejarzy.

Tymczasem ogłoszono memoryał rządowy z motywami projektu skupu. Otóż rachunki swoje ministerjum skarbu opiera na siedmioleciu *1893—1899* w sposób następujący:

Zgodnie z warunkami umowy, wynagrodzenie, przypadające w razie skupu akcjonarjuszom, nie może być mniejsze od sumy, którą określają dochody Towarzystwa za lata 1893—1899, z dodaniem do tej sumy niezamortyzowanej części kapitału akcyjnego, emitowanego na budowę kolei kaliskiej.

Okazuje się więc, że normą warunków skupu, wbrew insynuacjom *Gazety*, nie było wcale siedmiolecie ostatnie, a gdyby je nawet wzięto pod uwagę, to i tak, zgodnie z ustawą, dwa lata „najgorsze" (1905—1906) wyłączonoby zupełnie z rachunku.

Życząc *Gazecie Warszawskiej* rychłego zmartwychwstania, życzymy jej zarazem, by pozbyła się szpetnych nałogów egzystencji poprzedniej.

* *Przegląd Wileński*. Pod takim nagłówkiem ukazał się w Wilnie tygodnik postępowy i demokratyczny. Jako kierownik pisma występuje Ludwik Abramowicz. Pod szeregiem artykułów znajdujemy nazwiska pp. Michała Römera, A. Jańskiej, Benedykta Hertza, Hera, J. Wierzyńskiego. Redakcja tymczasem jeszcze nie wzywa ogółu do prenumeraty. Numer okazowy wydano, jako jednodniówkę, rodzajem próby. O ile jednodniówka ta zyska poparcie, wydawnictwo dopiero ukonstytuuje się na stałe. Nabyć można numer okazowy w cenie 15 kop. w kjoskach i księgarniach, a także u wydawcy (Wilno, Prospekt Św-Jerski 30.)

KRONIKA.

PRZEMYSŁ POLSKI W ZABORZE PRUSKIM. Według spisu zawodowego w Niemczech było przedsiębiorstw przemysłowych:

	w r. 1905	1907
w Ks. Poznańskiem	44,341	43,156
w Prusach Zach.	37,354	34,930
osób zaś w nich zatrudnionych:		
w Ks. Poznańskiem	130,754	162,115
w Prusach Zach.	111,620	146,539

W ciągu dwunastu lat podniosła się liczba zatrudnionych w przemyśle w Ks. Poznańskiem o 23,9 proc.,

w Prusiech Zach. o 31,2 proc., a w całej monarchji pruskiej o 37,9 proc. Rozwój więc w dzielnicach polskich był powolniejszy, niż w całym państwie.

Liczba przedsiębiorstw przemysłowych wskutek koncentracji zmniejszyła się.

Przedsiębiorstw średnich i większych zatrudniających ponad 5 osób, z wyjątkiem przemysłu budowlanego i konfekcyjnego, było w Ks. Poznańskiem 2,245, w Prusiech Zach. 2,911. Jaki jest udział w tych przedsiębiorstwach Polaków?

Związek fabrykantów polskich drogą wywiadu stwierdził, że w 28 powiatach Ks. Poznańskiego było przedsiębiorstw fabrycznych polskich 257 (najwięcej w przem. wytworów spożywczych 86, w przemyśle drzewnym — 48, w przemyśle mineralnym — 39, metalowym — 38). Porównanie z danymi urzędowymi co do liczby przedsiębiorstw uczynić można z tym zastrzeżeniem, że dane te obejmują i przedsiębiorstwa o charakterze czysto rzemieślniczym i przedsiębiorstwa gminne (np. gazownie).

Przypuściwszy, że po nadejściu reszty odpowiedzi, ilość przedsiębiorstw polskich powiększy się do **400**, stwierdzić można, że udział Polaków w przedsiębiorstwach fabrycznych w Poznańskiem stanowi najwyżej 25—30 proc., gdy tymczasem tworzymy przeszło 62 proc. ludności.

W Poznaniu samym naliczono 133 polskie przedsiębiorstwa na ogólną liczbę 423 zakładów fabrycznych, czyli mniej niż trzecią część.

W Prusiech Zachodnich rozwinął się silniej wielki przemysł w dziale metalowym, maszynowym i drzewnym, ale udział Polaków jest tam minimalny. Naliczono według wywiadu w 15 powiatach 49 przedsiębiorstw fabrycznych.

PRZEMYSŁ KRÓLESTWA W OSTATNIM DZIESIĘCIOLECIU. Tę nader ciekawą sprawę wyjaśnił p. Koszutski w odczycie przez się wygłoszonym w Stow. Kupców. Oto wedle niego następująco przedstawia się podział narodowościowy przedsiębiorstw krajowych w dziedzinie wielkiego przemysłu.

W przemyśle włóknistym było fabryk:

111	polskich z produkcją	19 mil. rb.
585	żydowsk. „	94 1/2 „ „
332	niemieck. „	150 „ „
15	innych „	31 „ „
1000	ogółem	395 mil. rb.

W przemyśle metalowym było fabryk:

650	polskich z produkcją	50 mil. rb.
280	żydowsk. „	17 „ „
98	niemieck. „	19 „ „
22	innych „	— „ „
1050	ogółem	86 mil. rb.

W przemyśle górniczym i hutniczym:

220	polskich z produkcją	54 mil. rb.
64	żydowsk. „	1/2 „ „
9	niemieck. „	13 „ „
15	innych „	36 „ „
308	ogółem	73 mil. rb.

W przemyśle papierniczym i drukarskim:

240	polskich z produkcją	7 1/2 mil. rb.
240	żydowsk. „	10 „ „

Ogólne zestawienie dla całego przemysłu dało wyniki następujące:

3300	polsk. z prod.	240 mil. i rob.	121,000
2540	żyd. „	200 „ „	107,000
543	niem. „)	170 „ „	130,000
98	innych „)		
6717	ogółem	710	358,000

Te niezwykle ciekawe liczby mówią same za siebie.

ZMARLI. W Krakowie zmarł pisujący pod pseudonimem Marjana Jasieńczyka Wacław Karczewski. W literaturze uczeń Dygasińskiego celował w odtwarzaniu życia zwierząt. Do niedawna był bibliotekarzem w Muzeum polskiemu w Rapperswilu.

W Paryżu odebrał sobie życie wraz z żoną Pawe Lafargue, zięć Marksa, wybitna bardzo osobistość w obozie socjalistów francuskich. Powodem samobójstwa była obawa starości i związanego z nią niedołęstwa. Lafargue wespół z Guesdem ułożył przed 28 laty program partyjny francuskich ortodoksów marksistów.

Notatnik wydawniczy.

Ster, organ równouprawnienia kobiet. Treść zeszytu X. Do współczesnej dziewczyny polskiej, T. L. — Panny na wydaniu, Anna Sokołowska. — A teraz cóż będę robiła? Djalog, Emma Jeleńska. — Do was mówię, które czekacie, T. Lubińska. — Hejnał młodości (wiersz), A. Sokołowska. — Tragizm dusz dziewczęcych, R. Pachucka. — Zawody kobiece, St. Posner. — Zjednoczenie studentek. Anima. — Czy tędy droga? — W sprawie „Ogniska dziewcząt”. — Związek równoupr. kobiet polskich. — Nauka pomocy społecznej. — Biuro porad zawodowych. — Udział „Młodych” w ruchu kobiecym. — Dom Liceantek. — Echa. — Książki nadesłane do redakcji. — Dary. — Od administracji. — Odpowiedzi Redakcji. — Ogłoszenia.

Zimowy **Puff**. Wyszedł z druku rozkład jazdy „Puff” na sezon zimowy, rozpoczynający się d. 28 października r. b. Odróżnia się ów rozkład zewnętrznie od letniego przepaską zieloną na okładce (zamiast czerwonej); wewnętrznie zaś licznymi ulepszeniami.

Dodano taryfę osobową, kalendarzyk; objaśnienia umieszczono na przedłużeniu okładki, tak, iż są one widoczne przy czytaniu każdego z pojedyńczych rozkładów. Układ udogodniono, unikając rozdzielania rozkładów jednej linji.

Przypominamy, że całkowity dochód *netto* ze sprzedaży i z ogłoszeń przeznaczony jest na cel dobroczynny, na rzecz niezamożnej uczącej się młodzieży.

Książki nadesłane do Redakcji:

Emma Jeleńska: „Jubileusz i inne nowele” Warszawa. Nakład Gebethnera i Wolffa. 1911.

Jordan (Juljan Wieniawski): „Kartki z mego pamiętnika“. Tom I i II. Warszawa, nakład Gebethnera i Wolffa, 1911. Całkowity dochód czysty z tego wydania autor przeznacza na korzyść Tow. Literatów i Dziennikarzy Polskich oraz Warsz. Kasy Przezorności i Pomocy dla Literatów i Dziennikarzy.

Dr Fr. W. Foerster, prof. Filozofji na politechnice i w uniw w Zurychu.: „Wychowanie człowieka“. Książka dla rodziców, nauczycieli i kapłanów. Zeszyt I. Warszawa. Nakład Gebethnera i Wolffa. 1911.

Kazimierz Sędziuk: „Niepotrzebny“, utwór dramatyczny. str. 104. Warszawa, 1911. Nakładem księgarni M. Borkowskiego.

ODPOWIEDZI OD REDAKCJI.

P. Danyszowi. Nadesłanego nam „sprostowania“ zamieścić nie możemy, gdyż nic nowego nie wnosi ono do sprawy, uprzednio przez nas oświetlonej. Wszak sam Pan przyznaje oba fakty, stwierdzające słuszność naszego zdania: 1) wykazywanie ze swej strony, zebranym trudności, połączonych z handlem masła; 2) wykazywanie, iż niema dla sprawy ludowej niebezpieczeństwa w przystępowaniu spółek włościańskich do wydziału mleczarskiego przy C. T. R. Otóż zniechęcanie ludu do organizacji samodzielnych przez przesadne „wykazywanie trudności“ tychże oraz zalecanie skrzydeł opiekuńczych C. T. R. w charakterze wychowawcy ludu, stanowi właśnie istotę poglądów i dążności rzeczonego Towarzystwa względem sprawy ludowej.

OGŁOSZENIA.

Prenumerata „Prawdy"
wraz z bezpłatnym dodatkiem):

W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb 8,z odnoszeniem do domu.

Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 50 rocznie rb 10.

Za zmianę adresu dopłaca się 20 kop.

Sekretarz redakcji przyjmuje interesantów codziennie, oprócz niedziel i świąt, od 12—2 pp.

Rękopisów nie odsyła się. Autorowie prac nieprzyjętych mogą je odbierać w przeciągu trzech miesięcy, osobiście w Redakcji lub za pośrednictwem poczty, po nadesłaniu kosztów przesyłki. Rękopisy drobne nie zwracają się.

Korespondencji nieopłaconych lub niedostatecznie opłaconych nie przyjmuje się.

Ogłoszenia wszelkiej treści po k. 20 za wiersz garmontowy jednoszpaltowy lub jego miejsce (strona ogłoszeniowa zawiera 4 szpalty).

Przedpłatę przyjmują: administracja**Prawdy**oraz wszystkie księgarnie, kjoski i kantory pism perjodycznych.

Sprzedaż pojedyńczych numerów po kop. 20 w Warszawie w Administracji pisma i w kjoskach.

Administracja otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt, od godz. 10 do 5 pp.

TREŚĆ:

Kierownik literacki: **Wincenty Rzymowski.** Redaktor: **Aleksander John.**

Sekretarz Redakcji: **Leon Gorecki.** Wydawca: **Józef Jabłoński.**

Druk K. Kowalewskiego, Warszawa, Piękna 15.